Nr. 44. Warszawa, dnia 3 Listopada (22 Października) 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Petersburg, 1 listopada. (*T. Ag. pół.*).

Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan ALEKSANDER III, dnia 20 Października (1 Listopada) o godzinie 2 minut 15 po południu spoczął spokojnie w Bogu.

POLITYKA.

TRYUMF BISMARKA.

Książę Bismark był również człowiekiem wyjątkowym pod względem nienawiści: było to może uczucie w nim najpotężniejsze, a obejmowało taki ogrom osób i rzeczy, że trudno dziś bez omyłki powiedzieć, czy on kogokolwiek i cokolwiek kochał. Ale jednym z najgłówniejszych przedmiotów jego nienawiści był hr. Caprivi. Nie umielibyśmy zliczyć, ile zatrutych strzał targający się w niemocy tytan jawnie i skrycie wypuścił na swego następcę. W mowach publicznych, w pogadankach poufnych, które skwapliwie rozgłaszano, w artykułach *Hamburger Nachrichten* drwił z niego, oskarżał go o niedołęztwo, o narażanie państwa na rozbicie, o marnowanie owoców pracy poprzednika, o partactwa dyplomatyczne itp. W miarę jak cesarz coraz większem zaufaniem darzył swego nowego doradcę, wzrastał gniew rozjątrzonego Jowisza, który nie mógł znienawidzonego następcy dosięgnąć bezwładnym piorunem.

Między innymi błędami, które Bismark wytykał „nowemu kursowi,“ było oddzielenie kanclerstwa od prezydentury w ministeryum pruskiem, które to urzędy on piastował łącznie, a które cesarz powierzył dwu osobom. Dowodził on i przepowiadał, że ten rozdział jest praktycznie niemożliwym, że prędzej czy później wywoła starcie, że kanclerz niemiecki i prezes ministrów pruskich staną przeciw sobie jako wrogowie i współzawodnicy.

I oto nagle znienawidzony przez niego człowiek upadł, przepowiednia literalnie się sprawdziła, a oba urzędy znowu połączono w osobie dotychczasowego namiestnika Alzacyi i Lotaryngii, ks. Hohenlohego.

Nie całkiem znany jest przebieg tej zmiany, która za kulisami ukryła wiele sprężyn, objaśnić ją więc musimy tylko tak, jak wystąpiła na widownię.

Oddawna już istniał coraz bardziej zaostrzający się zatarg między Caprivim a Eulenburgiem, wynikający po części z antagonizmów przedmiotowych, po części z osobistych. Co do ostatnich, wiadomo, że kanclerz, jako twórca traktatów handlowych z Austryą i Rosyą, a wogóle obojętny na interesy junkrów, zasłużył sobie na wielką ich niełaskę, która objawiła się nawet pewnym buntem przeciwko koronie. Naturalnie hr. Eulenburg, jako krew z ich krwi i kość z ich kości, nie mógł sympatyzować z wrogiem swej kasty i przyjacielem mieszczaństwa, krył jednak te uczucia głęboko, gdyż one obrażały cesarza. Łatwo pojąć, że gdy raz w duszach tego rodzaju zatli się iskierka niechęci, każdy dzień dostarczy wichrów, które ją rozdmuchają. Nie brakło więc i w tym wypadku powodów do ciągłej waśni, zwłaszcza że sama natura stosunku kanclerza do prezesa ministrów pruskich podsyca z obu stron rozjątrzenie. Nareszcie przyszła na stół sprawa obmyślenia hamulców przeciwko żywiołom wywrotowym. Tu kwestya się wikła, nie wiadomo bowiem, jakie środki zalecał hr. Caprivi, a jakie hr. Eulenburg, to tylko pewna, że różnili się w zdaniach. Podobno pierwszy z nich doradzał łagodniejszo, drugi surowsze. Cesarz miał oświadczyć się za projektem kanclerza, ale gdy mu okazano wiązkę artykułów dziennikarskich, jakoby pisanych z wiedzą czy na życzenie Capriviego, a zniesławiających Eulenburga, gdy z tych i inych dowodów przekonał się, że ci dwaj nieprzyjaciele nie mogą razem funkcyonować bez narażania powagi rządu, postanowił usunąć obu, a ich godności znowu zjednoczyć — i powołał do tej roli ks. Hohenlohego.

Jakkolwiek ta opinia jest powtarzana przez wszystkie dzienniki, nie załatwia pytania, czemu Wilhelm II. zastosował w tym wypadku zasadę ukarania obu malców, którzy się pobili, lub wsadzenia do kozy obu awanturników, którzy zakłócili spokój publiczny. Przecież to nie byli ani malcy, ani awanturnicy, lecz najwyżsi obok niego dostojnicy państwa: można więc było poświęcić mniej potrzebnego i godnego, a zostawić drugiego. Tę zagadkę *Daily News* usiłują rozwiązać uwagą, że po Napoleonie III żaden monarcha tak nie lubił sprowadzać niespodzianek i zajmować sobą Europy, jak Wilhelm II; dlatego nie wybrał on drogi najprostszej, lecz najefektowniejszą. Czy tym razem dziennik angielski domyśla się trafnie — zbadać trudno; przyznać mu tylko trzeba, że jego domniemanie ma dobre oparcie psychologiczne. Rzeczywiście, Wilhelm II lubi urządzać *coups de theâtre* i przypominać się Europie swą energią i śmiałością. Ma on wybitne pragnienie okazywania swej mocy i odwagi, wytwarzania położeń, które sprawiają dużo wrzawy i zaskakują ludzi znienacka. Celu tego znowu dopiął, chociaż, jak w przeważnej liczbie swych czynów, więcej zbudził zdziwienia, niż podziwu. Pomijając inne strony dokonanego przewrotu, sam fakt, że nowy kanclerz i prezes ministrów pruskich jest już zgrzybiałym starcem, dobiegającym ósmego dziesiątka lat, że więc już nie może rozwinąć żadnej dzielności, sama ta okoliczność — mówimy — odejmuje zmianie osób znaczenie pomysłu szczęśliwego.

Chwałą ks. Hohenlohego za takt, łagodność, pojednawcze usposobienie, ale na stanowisku kanclerza potrzeba czegoś więcej.

Bądź co bądź, Bismark odniósł tryumf: Caprivi otrzymał dymisyę, a urzędy kanclerza i prezesa ministrów pruskich według jego rady są znowu połączone.

PORAŻKA SPEKULANTÓW.

Giełda berlińska z zamiłowaniem uprawia oddawna spekulacyę kursem rubla. Istnieją tam nawet specyaliści, którzy głównie trudnią się wywoływaniem tych lub innych zmian, ażeby owoce zwyżki, względnie zniżki, włożyć sobie do kieszeni. Obecny minister skarbu, Witte, postanowił powściągnąć tę grę spekulacyjną papierami państwowymi, która wywierała zawsze jak najszkodliwsze skutki na wszelkie sfery prawidłowych stosunków handlowo-przemysłowych. Powodowany tymi zamiarami, za pomocą odpowiednich przepisów usiłował on zmniejszyć wywóz rubla za granicę celem urządzania machinacyj na giełdzie berlińskiej i ruch tych papierów sprowadzić tylko do takiego odpływu, jaki jest niezbędnie wymagany przez zdrowe stosunki wymienne. Rozpoczyna się więc walka ze spekulantami, którzy za wszelką cenę probują obejść owo ograniczenia, przeszkadzające nieokiełznanej spekulacyi, jaka istniała za dawnych czasów. Opowiadają o szwarcownikach, którzy w cholewach wywozili ruble na giełdę berlińską. Minister skarbu ścigał taką kontrabandę bardzo surowo i skompromitowane w niej domy bankierskie pociągał do odpowiedzialności, jako uczestniczące w spekulacyi, która jest wymierzona przeciwko dobrobytowi państwa. Ostatni w tej mierze okólnik p. Ministra ukazał się niespełna przed dwoma tygodniami, wystosowany do instytucyj kredytowych w stolicy. Przytaczamy brzmienie jego dosłownie, według źródeł urzędowych:

„Ministeryum skarbu niejednokrotnie zwracało uwagę prywatnych instytucyj kredytowych na swoją dążność powstrzymania gry na kursie rubla, uprawianej na niektórych giełdach zagranicznych. Obecnie doszło do wiadomości ministeryum, iż niektóre instytucye krajowe wysyłają za granicę w wielkich ilościach kupony od papierów procentowych, podlegające wypłacie w walucie kredytowej. Ze względu na to, że wywóz tych kuponów nie jest niezbędny dla handlu międzynarodowego i służy tylko za środek do prowadzenia wymienionej spekulacyi, kancelarya ogłasza rozporządzenie ministra skarbu, że ani kupony, ani wylosowane obligacye, podlegające wypłacie w walucie kredytowej, nie mają być wysyłane za granicę, w przeciwnym bowiem razie będzie on uważał, że owe instytucye biorą udział w grze przez dostarczanie rubli spekulantom zagranicznym.“

Pod wpływem tych środków spekulacya znacznie spadła w swojem napięciu. Kurs rubla od dłuższego czasu waha się bardzo słabo. Ale swoją drogą p. Witte wciąż napotykał przeszkody, które dowodziły, że spekulacya bynajmniej nie została pokonana całkowicie. Zdecydował się on na środek ostateczny i, jak dowodzą kursy z końca października, wygrał sprawę zupełnie. Dał on taką nauczkę graczom giełdowym, spekulującym na rublu, że ci nie prędko odważą się na coś podobnego. Dla przykładu podajemy tu cyfr kilka. Mianowicie za 100 rubli płacono w markach (w gotówce) na giełdzie berlińskiej:

24	października	210,65
25	„	221,45
26	„	225,80
29	„	232,80!
30	„	200,30!
31	„	221,45

Tablica ta wykazuje niesłychaną zwyżkę kursu rubla i podobnie gwałtowną zniżkę. Przy końcu miesiąca odbywa się wypłata różnych zobowiązań, podczas której spekulacya zwykle jest najruchliwsza. Tymczasem zabrakło rubli na pokrycie umów w wysokości trzech milionów! Ceny wzrosły szybko i doszły nawet do 236! Na giełdzie berlińskiej między spekulantami zapanowała niesłychana panika. Doszło do tego, że nawet zebrało się kolegium starszych i zamyślało o ogłoszeniu moratoryum — ostateczności, do której giełda ucieka się tylko w przesileniach wyjątkowych. Ale nie było rady. Spekulanci tedy, za pośrednictwem domu berlińskiego Mendelsohn i S-ka, który zakupił *ultimo październik* rubli na 12 milionów marek, zwrócili się do ruskiego ministra skarbu z prośbą o przywrócenie wywozu. P. Minister po udzieleniu tej nauki zgodził się na dostawę 3 mil. rubli z Rosyi, ale kazał zapłacić za nie według kursu 234 marek. Odpowiedź jego brzmi jak następuje: „Nowych środków dla wywarcia wpływu na obecną likwidacyę nie przedsiębrałem. Wszystkie środki, wskazane przez komisyę giełdową, oddawna istnieją i są znane na giełdzie berlińskiej. Popłoch nie wypłynął z tej przyczyny, ale stanowi rezultat spekulacyi, przeciwko której środki te są skierowane. W żadnym razie nie zmienię ich, ani nie osłabię. Nie chcę jednak wnosić na giełdę berlińską popłochu, tym razem gotów jestem osobom, zobowiązanym do dostarczenia rubli, pomódz w wykonaniu zobowiązań. Z tego powodu pozwalam na sprzedanie im z naszej gotowizny do trzech milionów rubli po 234 marki.“ W ten sposób p. Minister skarbu nad spekulantami berlińskimi zawiesił istotny miecz Damoklesowy. Zapłacili oni, w porównaniu z kursem *ultimo* listopad około 400 tysięcy m. grzywny! Ale nie w tem leży jądro sprawy. Postępek p. ministra jest wskazówką, że na przyszłość zastosuje środki jeszcze dotkliwsze. Sparzywszy się raz jeden, spekulanci będą ostrożniejsi i powściągliwsi na przyszłość w swoich operacyach terminowych na rubel, w których zależą wprost, jak dowiodły fakty powyższe— od łaski ministra finansów ruskich.

4)

Piotr Loti.

ŻYCIE DWOCH KOTEK.

Pewnego dnia pobłażliwość białej Moumoutte dla chinki zmieniła się nagle, wskutek fantazyi, bez widocznej przyczyny, w czułą przyjaźń. Zbliżyła się śmiało i jęła obwąchiwać jej wargi, co u kotów równa się najserdeczniejszemu pocałunkowi.

Sylwester, obecny przy tej scenie, okazywał pewną nieufność:

— Czy widziałeś—zapytałem—jak się kotki pocałowały na znak zgody?

— O nie, proszę pana—odparł tonem znawcy, którego udawał zawsze, ilekrotnie chodziło o domowe sprawy kotów, koni lub jakichkolwiekbądź zwierząt moich—nie, proszę pana, to biała Moumoutte chciała się tylko poprostu po zapachu przekonać, czy chinka nie zjadła jej mięsa...

Mylił się jednak, bo od tego dnia stały się przyjaciółkami. Zaczęły siadać na jednem krzesełku, jeść z jednego talerza, codziennie zaś rano witały się tarciem pocieszných swoich nosków...

. . . .

Odtąd mawiało się: „kotki zrobiły to i to.“ Tworzyły serdeczny, nierozdzielny duet, radziły się siebie, odprawiały razem najdrobniejsze i najtrywialniejsze czynności życia; czesały, lizały się, wspólnie robiły toaletę, ze wzajemną dla siebie czułością.

Biała Moumoutte pozostawała nadal wyłącznie niemal kotką ciotki Klary, podczas gdy chinka moją była wierną przyjaciółką, z jednaką zawsze miłością na mnie patrzyła, jednaką okazywała czujność na najcichszy dźwięk mego głosu. Zaledwie siadałem, a już opierała się na mnie lekka łapka—jak dawniej w podróży; dwoje żółtych oczu zwracało się do mnie z pytaniem i—hop!—już chinka była na moich kolanach; wolniutko zaczynała się układać, obiema łapkami sporządzać sobie leże, zwijała się najpierw w jedną stronę, potem w drugą i kończyła przygotowania do siesty w tej właśnie chwili, kiedy ja znowu pójść zamierzałem...

Dziwną, niepochwytną może tajemnicą duszy jest to wierne przywiązanie i długotrwała wdzięczność zwierzęcia...

. . . .

Kotki ogromnie rozpieszczone, przypuszczone do jadalni w godzinach obiadowych, siadają często obok mnie, jedna—z jednej, druga—z drugiej strony, przypominają się od czasu do czasu mojej pamięci, uderzając dyskretnie łapkami w serwetkę, czyhając na kęsy, które, jak grzeszący uczeń, podaję im spiesznie cichaczem na własnym widelcu.

Lato tego roku było dla chińskiej Moumoutte okresem życia najrozkoszniejszym. Dzięki odrębności i dystynkcyi swojej, stała się ładną niemal; w okolicy, w świecie kotów, po ogrodach i dachach rozeszła się wieść o pobycie ponętnej cudzoziemki i liczne zastępy wielbicieli przychodziły gruchać pod jej oknami w piękne, ciepłe noce, przesycone wonią powojów.

W połowie września obie kotki poznały prawie jednocześnie szczęście macierzyństwa.

Rozumie się, że biała Moumoutte była już matką doświadczoną. Co się zaś tyczy chinki, to kiedy minęły pierwsze chwile zdziwienia, można ją było widzieć liżącą czule drogie swoje szare maleństwo, jedynaka swego—o sierści tygrysiej.

Wzruszającą była też później wzajemna miłość obu rodzin: wspólne zabawy małego komicznego chińczyka z małym angorą, okrąglutkim, jak meszek do pudru, mycie, czesanie, karmienie maleństw, dokonywane z jednaką prawie troskliwością już to przez jedną, już przez drugą kotkę.

. . . .

Zima jest porą, w której koty szczególnymi cieszą się względami przy ognisku, towarzyszą nam każdej chwili koło komínka, dzielą z nami przed tańczącym płomieniem nieokreślony smutek zmierzchu i niewyczerpane marzenia.

Jest to też, jak powszechnie wiadomo, epoka rozkwitu ich piękności, czas kiedy posiadają istny zbytek sierści, największy

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obok doniosłych faktów berlińskich wszelkie inne sprawy zachodnio-europejskie zostały w półcieniu, przynajmniej na pierwszą chwilę wrażeń silnych. Z tego powodu nawet otwarcie parlamentu francuskiego i namiętne w nim rozprawy przeszły sucho zanotowane w kronice polityki bieżącej. Dla prezydenta i jego składu ministeryalnego rozpoczął się jednek okros ciężki. Wszelkie namiętności, niezadowolenia, które się gromadziły przez lata całe śród żywiołów krańcowych, obecnie znalazły upust w salach parlamentarnych i uderzają silną falą o ster Rzeczpospolitej. Najwięcej bruździą przywódcy opozycyi radykalnej, ale sfery rządu wzmocnione są solidarnością, ufają w swe siły. Jednakże na posiedzeniu Izby powstała silna burza i spadły pioruny, a sprawcą tego był Favette, szef kancelaryi ministeryum handlu za czasów Juliana Roche'a. Podał on za fiakry 25 tys. franków. Suma ta wywołała niewiarę i oburzenie, bo jest aż nadto widoczne nadużycie. Gdyby nawet ten hojny jegomość chciał stale zamieszkać w powozie i urządzić tam kuchnię wykwintną, jeszczeby coś z kwoty powyższej pozostało na cygara. To też komisya parlamentarna położyła nacisk na konieczność śledztwa sądowego. Był to tylko początek roznamiętnienia, które znajdzie powód do silniejszego wybuchu i wtedy może rozpadnie się cały gabinet Dupuy'a.

W Belgii wybory już ukończono i w rezultacie obóz liberalny poniósł znaczną porażkę. Oto wynik: przyszła Izba, licząca 152 posłów, będzie posiadała 103 katolików, 33 demokratów społecznych i zaledwie 16 liberalnych. Senat będzie miał 51 katolików i 25 liberalnych. Lewicę dawną rozbito, a nawet zabrano jej przywódców.

Rząd włoski walczy energicznie z socyalizmem. Zniesiono w ciągu jednego dnia 271 stowarzyszeń.

W Istryi zachodniej władze dopuściły się zagadkowego czynu. Oto na sądach wywieszono tablice z napisami chorwackimi obok włoskich. Prowincya ta, jak wiadomo, jest rdzennie włoską. Od r. 1280 należała do Wenecyi, dopiero od r. 1797 połączona została z Austryą, ale mowa ludności miejscowej utrwaliła się w instytucyach sądowych do chwili obecnej. To też nic dziwnego, że śród mieszkańców miast czysto włoskich (Campo d'Istria, Pirano, Rovigno i in.) zamanifestowano niezadowolenie, które musi być dość silne, skoro, według depeszy czwartkowej, do Istryi wysłano wojska. Sprawa ta weszła już do sfer parlamentarnych w Wiedniu, gdzie zażądano usunięcia tablic z podwójnymi napisami. Cały klub południowy hr. Coroniniego skutkiem wypadków powyższych zamierza wystąpić z koalicyi.

Morskie Oko nie przestaje być przedmiotem budzenia namiętności i zajść. Z powodu spalenia i zniszczenia koszar, wystawionych dla żandarmeryi węgierskiej, ks. Hohenlohe wytoczył proces karny właścicielowi Zakopanego, hr. Zamoyskiemu, o gwałt publiczny. Sprawa rozpocznie się w Nowym Sączu za kilka miesięcy. Jednocześnie wejdzie na porządek dzienny kwestya własności gruntów na przestrzeni spornej.

W Belgradzie utworzył się nowy gabinet pod przewodnictwem Kristicza. Sprawy zewnętrzne objął Bogiczewicz, sprawiedliwość — Dżordżewicz. Inne teki — członkowie dotychczasowego gabinetu: Petrowicz, Łozanowicz, gen. Zdrawkowicz i Pawłowicz. Postępowcy przyjęli nową organizacyę sterniczą sympatycznie, liberalni zachowują się powściągliwie, radykaliści zaś stoją na gruncie opozycyjnym.

Wiadomości ze wschodu obwieszczają ciągle zwycięztwa Japonii i wzrost jej armii.

BADANIA NAUKOWE.

MEDYUMIZM.

VII.

Badając objawy medyumistyczne, winniśmy zawsze być przygotowani, że patrzymy na sztuczki. Zręczność wytrawnych w swym fachu kuglarzy jest niezrównana. Przedmiot znika z rąk mistrza kunsztu „prestidigitatorskiego," wówczas, kiedyśmy zdaje się ani na chwilę nie spuszczali z oczu rąk jego, pojawia się gdzieś na miejscu dalekiem, chociaż ów „artysta" nawet nie wyciągnął pozornie tam swojego ramienia. Binet, znany psycholog francuski, który świeżo studyował sztukę dokonywania figlów kuglarskich, z czterema towarzyszami przypatrywał się jednej z podobnych reprodukcyj u siebie w pokoju. Wszystko to były osoby, wdrożone do czynienia spostrzeżeń i posiadające pod tym względem sporą wprawę. A jednak żadna nie zdołała uchwycić prestidigitatora na tem, w jaki sposób dokonywał swojej sztuczki, aż póki sam nie raczył podać im szczegółów. Otóż, wobec zajęcia, jakie tu i owdzie obudził medyumizm, warto się przyjrzeć niektórym tajemnicom umiejętności kuglarskiej. Mamy właśnie pod ręką świeże studya tylko co wspomnianego Alfreda Bineta *). Badacz ten przestudyował istniejące podręczniki sztuki płatania figlów, wszedł w stosunki osobiste z wytrawniejszymi mistrzami tego zawodu i o tyle ich zjednał, że się zgodzili popisywać przed nim swoją umiejętnością i, co ważniejsza, wtajemniczali w sposób dokonywania czynów, wreszcie zastosował przyrząd chronofotograficzny, który, pozwalając w ciągu jednej sekundy zdjąć kilkanaście obrazów, utrwalał na papierze najmniejszy ruch ręki, nawet taki, o którego istnieniu nie wiedział kuglarz. Tą drogą powstała niewielka rozprawka, z której treścią zamierzamy zaznajomić czytelnika.

Rozumie się, odpowiednia giętkość i zręczność organów chwytnych, a zatem dłoni, nawet pojedynczego stawu u palca, odgrywa w rozpatrywanem rzemiośle rolę niepoślednią. Kuglarz ćwiczy swoją rękę długo i uważnie, zwłaszcza umiejętność ukrycia przedmiotów w dłoni. Rozpoczyna od rzeczy drobnej, np. monety, i z czasem dochodzi do takiej wprawy, że przed oczami publiczności może ukryć przedmioty takiej wielkości, jak jajo lub kula bilardowa, albo trzymać kilka i nawet kilkanaście drobniejszych i jednocześnie tą

*) „La Psychologie de la prestidigitation." *Revue des deux mondes.*

---

przepych futra. Chińska Moumoutte nie miała już ani jednej dziury w sukience z chwilą nastania mrozów, biała zaś zawiesiła sobie wspaniały krawat, śnieżnej barwy boa, opasujące jej szyjkę, niby kryza à la Médicis. Wzajemna ich czułość wzrastała wskutek przyjemności, jakiej doznawały, grzejąc się pospołu; zwinięte w jeden kłębek, tak że niepodobna było rozróżnić głowy od ogona, sypiały całymi dniami na poduszkach, fotelach—przy kominku.

Zwłaszcza chińska Moumoutte nigdy dość blizkiego do ognia dobrać sobie nie mogła miejsca. Jeżeli wróciwszy z jakiejś wycieczki na świeżem powietrzu, dostrzegała białą swoją przyjaciółkę, śpiącą przed ogniem, zbliżała się cichutko, tak ostrożnie jak gdyby szło o złapanie myszki; biała zawsze kapryśna, nerwowa, zirytowana tem zakłóceniem jej spokoju, uderzyła czasem łapką, drapnęła... Chinka razów nie zwracała, podnosiła tylko małą swoją łapkę, żartem jakby grożąc i mówiła mi skośnem spojrzeniem: „Trudno dać sobie z nią radę, nieprawda? No, ale ja tego znów na seryo nie biorę, pojmujesz przecież!" Zdwajała tedy jeszcze ostrożność i osiągała to, czego pragnęła, to jest kładła się całem ciałem na białą, zakopywała główkę w śnieżnem futerku i przed zaśnięciem rzucała mi z nawpół przymkniętych ocząt spojrzenie, mówiące: „Tego właśnie chciałam!... I jest!..."

. . . .

Ach, owe wieczory zimowe! W głębi cichego, ciemnego i jakby zbyt wielkiego domu, w małym, a bardzo ciepłym parterowym saloniku, wychodzącym na dziedziniec i ogrody, siedziały przy świetle wiszącej lampy mama i ciotka Klara. Siedziały na zwykłych swoich miejscach, tych samych, które zajmowały przez tyle zim poprzednich, a tak do siebie podobnych. Najczęściej i jam tu przesiadywał, nie chcąc tracić ani chwili z obecności ich na ziemi i z mego u nich pobytu. W innej odległej części domu leżała odłogiem ciemna, nieopalana pracownia moja—istne mieszkanie Aladyna. Wolałem poprostu spędzić wieczór tak we trójkę w ich towarzystwie, w małym tym saloniku, gdzie rozgrywały się wszystkie najściślej rodzinne sprawy, gdzie żyło się zawsze tylko „u siebie." Okna (okienic nie zamykano nigdy), drzwi oszklone, prawie że wiejskie, otwierały widok na czarne gałęzie drzew, na wawrzyny, bluszcze, pnące się wzdłuż murów, oświetlone kiedy niekiedy przez promień księżyca. Z ulicy, dość zresztą odległej, nie dochodziła nas żadna wrzawa. Co prawda cicha to była ulica i tylko od czasu do czasu słychać tu było śpiewy majtków, święcących dzień powrotu. Nie,—żyliśmy raczej wśród szmerów wioskowych: latem—wielki koncert żabi, rozbrzmiewający na morskich płaszczyznach, złączonych ze sobą niby stopy; smutny fletowy głos sów; zimą wieczorami, o których właśnie mówię, jakiś krzyk ptaka błotnego i długa skarga wichru, idącego z zachodu, od morza.

Na wielkim stole, przykrytym obrusem w kwiaty, który znam odkąd żyję, mama i ciotka Klara rozkładały swoje koszyczki do robót. Były w nich rzeczy, które nazwałbym *podstawowemi*, gdybym śmiał użyć słowa, jedynie dla mnie w tym razie zrozumiałego; były tam owe drobne rzeczy, które w oczach moich wagę relikwij nabrały i w pamięci, w życiu mojem najdonioślejsze zajmują miejsce; nożyczki do haftu, pochodzące od prababek, a pożyczane mi za lat dziecinnych do wycinania z tysiącem przestróg; cewki do nici, sporządzone z rzadkiego jakiegoś drzewa, przywiezione niegdyś z kolonij przez żeglarzy, a nasuwające mi zawsze całą przędzę marzeń; igielniczki, okulary, naparstki, futerały... Jak dobrze znam i kocham wszystkie te biedne, cenne drobnostki, które ręce mamy i ciotki Klary od tylu już lat rozkładają na tym starym, kwiecistym obrusie; z jakiem rozrzewnieniem odnajduję i witam je za każdym powrotem z dalekiej podróży! Powiedziałem przed chwilą, że są to rzeczy *podstawowe*; określenie to niestosowne, przyznaję, więc tak je objaśniam: gdyby na odwiecznych miejscach swoich istnieć przestały, zdawałoby mi się, żem uczynił wielki krok naprzód ku własnemu zniszczeniu, ku prochowi, ku zapomnieniu.

A kiedy mama i ciotka Klara pójdą stąd obie, zdaje mi się, że te drogie mało przedmioty, pobożnie po nich prze-

samą ręką wykonywać swobodnie czynności. Figle niektóre są nadzwyczaj złożone; dla ich dokonania trzeba wprost odegrać całą gamę rozmaitych ruchów każdym palcem, tak iż publiczność jest trzymana w złudzeniu, że wszystkie palce są wolne i poruszają się, wówczas kiedy za nimi lub między nimi ukrywa się przedmiot i odbywa podróż. Ale najwprawniejszą ręką kuglarz nie zdołałby dokonać niepostrzeżenie swoich sztuczek, gdyby systematycznie nie posługiwał się pewnymi fortelami, nie korzystał z zasad omamienia czyichś zmysłów i tym sposobem nie wprowadzał widzów na błędne drogi. Naturalnie, umiejętności tej nauczył się nie z książek, ale zdobył w sposób empiryczny. W ciągu wieków mistrzowie kunsztu kuglarskiego nagromadzili spory zasób doświadczeń w tej mierze. Wiedzą, jakie ruchy zbijają najskuteczniej z tropu uwagę widzów, jakie słowa lub wyraz twarzy są najodpowiedniejsze dla dopięcia pożądanego celu. Wiadomości te przechodzą z jednego pokolenia na drugie, jako tradycya żywa, udzielana za pomocą przykładów i słowa, która doszła do możliwej doskonałości i nie potrzebuje udoskonalania w dalszym ciągu. Tej empiryi psychicznej uczą się kuglarze tak samo, jak pobieramy lekcye tańców. Są tam zasady natury ogólnej, lub też dotyczące tej albo innej sztuczki pojedynczej. W liczbie pierwszych znajdujemy zapowiedź, że kuglarz, kiedy chce wywrzeć na publiczności swoje wrażenie, powinien przykuć do siebie całą jej uwagę. Zanim rozpocznie popis swoją zręcznością w jakimkolwiek dziale figlów, musi zwrócić na siebie oczy wszystkich widzów — „wejść z nimi w stosunek,“ jak się wyraża praktyka uśpienia hypnotycznego. Robert Houdin, jeden z wybitniejszych przedstawicieli zawodu kuglarskiego, pod tym względem czyni nadzwyczaj cenną uwagę, której słuszność przyzna każdy, kto przemawiał publicznie i wogóle występował przed tłumem. Według tego mistrza sztuki kuglarskiej, osoba, która chce poświęcić się danemu zawodowi, musi posiadać „dobre oko.“ Niektórzy — oświadcza on — mają wzrok bojaźliwy, chwiejny, niepewny; kiedy ktoś z nimi rozmawia i patrzy im prosto w oczy, doznają zakłopotania, odwracają głowę to w tę, to w inną stronę, jakby unikały spojrzenia. Ta lękliwość wzroku może udzielić się wszystkim obecnym, tamuje ona rozmowę i przeszkadza mówcy porwać słuchającą go publiczność. „Trzeba—powiada w ciągu dalszym — posiadać spojrzenie szczere i żywo, które śmiało zwraca się ku widzom i przykuwa ich wzrok do mówcy. W ten sposób pomiędzy nim a publicznością rodzi się wzajemna sympatya. Naówczas dobry artysta może skierować oczy zgromadzonych wszędzie, gdzie mu potrzeba.“ Kuglarz ćwiczy się systematycznie w takiem opanowywaniu czyjejś uwagi, korzystając ze swego doświadczenia oraz z empiryi poprzedników, uczy się przed zwierciadłem pewności i stanowczości ruchów. Są inne zasady, równie natury ogólnej, ale nie tak ważne. Jeżeli potrzeba pomocnika mimowolnego z publiczności, który coś na pewno musi dojrzeć, to kuglarz, kiedy nie ma w tłumie wspólników, wybiera zawsze kobietę, ufny, że nie ośmieli się ona zabrać głosu i wykryć matactwa wobec mnóstwa nieznanych sobie osób.

Ale prócz tych zasad ogólnych istnieje jeszcze mnóstwo pomniejszych, używanych w tym lub innym wypadku specyalnym. Można je ułożyć we dwa rzędy, odpowiadające do pewnego stopnia tak zwanym złudzeniom dodatnim i ujemnym w praktyce hypnotycznej. Kogoś usypiamy i poddajemy mu rozkaz: oto ptaszyna lata w pokoju. Zahypnotyzowany widzi ją, chociaż jej niema, słyszy trzepotanie skrzydeł, łapie ją. Jest to złudzenie natury dodatniej. Albo też nakazujemy nie dostrzedz tego co istnieje, np. stołu. Uśpiony działa jak gdyby przedmiotu tego nie było w pokoju. Będzie to złudzenie ujemne. Cała różnica, że kuglarz nie ma przed sobą publiczności w stanie odrętwienia hypnotycznego, a jednak winien wywrzeć taki sam skutek na jej zmysły. Przypuśćmy, że musi skłonić obecnych do widzenia tego, czego niema, i w ten sposób wykonać jeden ze swoich figlów. Obiecał, że kula zniknie. Bierze ją, przekłada z ręki do ręki, głośno zwracając na to uwagę zgromadzonej publiczności. Zapowiada z góry, że przełoży kulę z prawej do lewej, czyni to; później obwieszcza, że znowu zrobi to samo, i wykonywa zapowiedzianą sztukę; potem, jeszcze raz mówi, że kula przejdzie do ręki lewej. Publiczność jest pewną, że to się stało, wówczas gdy on zatrzymał przedmiot w dłoni prawej i ukrył ją. Naówczas pokazuje, że ma ręce puste. Kula zniknęła, chociaż publiczność, pozornie, nie spuszczała oka z jego czynności. Naturalnie, nie zaniedbuje ani jednego giestu, który jest potrzebny, i przed zwierciadłem ćwiczy się w ruchach, aby im nadać pozory naturalności. Nadto używa jeszcze innych fortelów, dla wywołania złudzeń. Dopomaga mu w tem mowa: patrzcie dobrze, oto kładę kulę do ręki lewej; — wzrok jego skierowywa się w tę stronę, twarz przybiera wyraz odpowiedni. Przytem zachowuje możliwą miarę w swoich ruchach, ani nie spieszy się zanadto, ani nie odwraca raptownie wzroku. Skutkiem takiego postępowania widzowie są przekonani, że w rzeczy samej przełożył on kulę raz jeszcze, wówczas gdy tego nie było. Widzą czego niema! Jeszcze większe znaczenie w rzemiośle kuglarskiem posiada umiejętność odwrócenia od czegoś uwagi publicznej. Każde nasze spostrzeżenie jest czynnością wyboru. Niezliczone wrażenia cisną się do naszych zmysłów, ale na wiele nie zwracamy uwagi i wybieramy tylko te, które posiadają dla nas jakieś znaczenie. One to przedostają się przez próg naszej świadomości. Ten przedmiot działa swoją barwą, ów kształtami. Otóż kuglarz jest świadom tej naszej natury i wyzyskuje ją. Używa przedmiotów odpowiedniej formy lub koloru i przedewszystkiem usiłuje przykuć uwagę do jednej ze swoich czynności i tem samem ukryć przed obecnymi inne. Gdy wszyscy nań patrzą, zwraca swój wzrok w pewnym kierunku—rozumie się, zwolna, nie gwałtownie. Im większy spokój zachowa, tem pomyślniejszy rezultat. Zaczyna więc spoglądać na lewo i wszystkich spojrzenie odciąga w tę stronę. Kuglarz nawet posuwa się tak daleko, że czyni ciałem półobrót i kiedy wszyscy patrzą na lewo, dokonywa ruch ręką prawą. Albo bierze karty, ażeby zrobić pewien figiel. Naturalnie wszyscy zaczynają spoglądać na ręce. Pozwala im na to aż do znużenia, potem zaczyna mówić. Wszyscy zwracają zwrok swój ku jego twarzy. Ręce wtedy, wolne od uwagi, załatwiają sztuki. Houdin opowiada, że często uciekał

---

chowane, wzywać będą ich obecność, przedłużą niejako życie ich pośród nas...

Rozumie się, że kotki również przebywały w saloniku, spały sobie zwinięte w jeden bardzo ciepły kłębek na fotelu lub taburecie w najbliższem sąsiedztwie kominka. A niespodziane ich przebudzenia i ruchy, rozweselały trochę ciche nasze wieczory.

Czasem biała Moumoutte, folgując nagłemu pragnieniu zbliżenia się do nas, wskakiwała na stół i siadała z powagą na robótce ciotki Klary, obracając się do niej tyłem i przejeżdżając nieumyślnie wspaniałym swoim, czarnym ogonem po jej twarzy; i uparcie zostawała w tej pozie, pogrążona w zadumie przed płomieniem lampy.

Budziło się we mnie pewne *ja* spokojne, pogodne, dziecinne prawie w te oto wieczory, w małym tym, cichym salonie, przy tym stole, koło którego nad robótką siedziały mama i ciotka Klara. A jeżeli chwilami w głuchem wstrząśnieniu wewnętrznem przypominałem sobie, żem miewał duszę wschodnią, afrykańską i mnóstwo innych jeszcze, że w cieple różnych słońc snułem był sny i marzenia niezliczone — wszystko to wydawało mi się jakby bardzo dalekie i nazawsze skończone. I ta przeszłość tułacza pozwalała mi odczuć silniej chwilę obecną, spoczynek, przerwę za kulisami, osłaniającemi najserdeczniejszą stronę mego życia, stronę nieznaną, a która zdziwiłaby może wielu i uśmiech wywołałaby na niejednych ustach. Z zupełnie szczerym zamiarem mawiałem sobie, że więcej już nie odjadę, że nic tyle nie jest wartem, ile spokój, którego tu doznaję i możność odnalezienia odrobiny z pierwszej mojej duszy; że nigdzie tak jak w tem gniazdku mego dzieciństwa nie odczuję błogosławionej obrony przeciwko pustce i śmierci; że nic nie zrównoważy radości, która mi serce wypełnia, gdy poprzez szyby okien, wśród cienia drzew i w świetle księżyca zimowego odgaduję szczegóły naszego dziedzińca. Niegdyś był mi on całym światem a pozostał taki sam, jak dawniej, strojny w bluszcze, mało skały i mury stare; odzyskałby może jeszcze w oczach moich dawną swoją doniosłość i zaludniłby się dawnemi marzeniami mojemi... Nadewszystko, mawiałem sobie, że nic na szerokim świecie nie równa się szczęściu widzenia mamy i ciotki Klary, siedzących przy tym stole, nad robótką, z nachylonemi nad kwiecistym obrusem głowami, w stroikach z czarnych koronek na puklach włosów białych.

Raz przypominam sobie... odbyła się kocia scena. Jeszcze i dziś bez śmiechu myśleć o niej nie mogę.

Była to mroźna noc około Bożego Narodzenia. Wśród wielkiej ciszy słyszeliśmy ponad dachem naszym lot dzikich ptaków, płynących do obcych krain: szmer głosów ochrzypłych, bardzo licznych, jęczących w przestrzeni chórem i niknących w oddali. „Czy słyszysz, słyszysz? — rzeknie do mnie ciotka Klara, z uśmieszkiem i udanym niepokojem: przypomniała sobie, że za lat dziecinnych bałem się niezmiernie takich oto nocnych podróży ptaków.“

Wkrótce potem nastała znów cisza, tak zupełna, że słyszeć można było skargę płonących na kominku główni i prawidłowy oddech obu uśpionych kotek.

Nagle jakiś wielki żółty kot, którego biała Moumoutte nie znosiła, a który prześladował ją swoim afektem, ukazał się niespodzianie za szklanemi drzwiami, wyraźnie odbijając od czarnego tła drzew. Patrzał na nią wzrokiem bezczelnym, ponurym, z wyzywającem „miau!“ Natenczas skoczyła do drzwi jak piłka rzucona— i tu po obu stronach szyby stanęły sobie nos w nos, bijąc się i miotając na siebie cały potok strasznych, ochrzypłym głosem wypowiadanych obelg; nastąpiło bicie łapkami z całych sił, ostrzenie pazurków poprzez szybę—wielki zgrzyt, puf, puf!— bez skutku. Ach ten przestrach mamy i ciotki Klary w pierwszej chwili—a potem ten ich śmiech serdeczny, komiczność tej całej nagłej wrzawy, która wszczęła się bezpośrednio po owej skupionej ciszy, a nadewszystko to miau żółtego kota, jego zmieszanie, upokorzenie i te oczy tak śmiesznie świecące poza szybą!...

(D. n.)

się do następującego figla. Obiecał publiczności, że z pustej ręki wytrząśnie rożne przedmioty. Brał więc pałeczkę i opowiadał o jej właściwościach. „Widzicie różdżkę czarodziejską, posiadającą bardzo niezwykłe zdolności; przy jej pomocy można z opoki wydobyć wodę. Uderzę nią gdziekolwiek i z pod niej zrodzi się chociażby kula. A zatem patrzcie dobrze i uważnie—uderzam na próbę. Więc (uderza)! Nic — nic tutaj. Uważajcie! uderzam więc!“ Uderza powtórnie ręką wolną, z której wypada kula. Mechanizm kuglarstwa jest bardzo prosty. Przykuł uwagę publiczności do pałeczki i do uderzenia fałszywego, a tymczasem drugą ręką z kieszeni wydostał przedmiot, który później pokazał widzom. Na temat tylko co podanego fortelu można przytoczyć mnóstwo sztuczek i figlów. Wszystkie one, z naciskiem zaznacza Binet, bynajmniej nie są wynalazkiem samego kuglarza, ale przekazane zostały mu przez jego poprzedników z nadzwyczajną drobiazgowością: nauczyciel nakazał mu w danej chwili uczynić gest jakiś, to znowu rzucić pewien dowcip itd. Są inne jeszcze sposoby dokonania pewnej sztuczki. Psycholog francuski zatrzymuje się długo nad psychologią czynów złożonych, uskuteczniaaych nader szybko.

Okazuje się, że zmysły nasze potrzebują pewnego czasu, aby dane zjawisko pochwycić. Kiedy bywa uskuteczniane w krótszym okresie, umysł nasz nie może go zanalizować. Każda ze składowych części pewnego figla wprawdzie trwa dłużej po nad to minimum, ale liczba ich jest znaczna i poruszenia szybkie, wreszcie ta okoliczność, że uwaga nasza jest skierowana nie na drobiazgi, lecz na całość, sprawia, że tracimy zdolność odkrycia, a raczej dostrzeżenia podejścia, chociaż wiemy, że ono istnieje. Bardzo ciekawe opisy w tej mierze podaje A. Binet. Okazuje się, iż zjawisko tak go pochłaniało, że mimo wysiłku nie zdołał panować nad drobiazgami i dojrzeć między nimi tego, który stanowił o powodzeniu sztuki. Podejście wprost nie dochodziło do granic jego świadomości. Dopiero kiedy prestidigitator odkrył przed nim tajemnicę, naówczas spostrzegł ów fortel i tylko dlatego, że myśl zostawała zwolniona od obejmowania całości i badania jej pojedyńczych składników oraz od wyszukiwania pomiędzy nimi chwili stanowczej.

Słowem, podstawą powodzenia kuglarzy jest nietylko zręczność rąk i wogóle organów chwytnych, ale przedewszystkiem znajomość empiryczna słabostek natury ludzkiej. Każdy z wybitnych sztukmistrzów jest artystą, umiejącym grać na wyobraźni swoich widzów. Stwarza on z rozmaitych jaźni jedną, zbiorową, którą przykuwa do siebie, każe jej tam spoglądać, dokąd sam rzuca wejrzenia, i nie zwracać uwagi na to, od czego życzy sobie odciągnąć oczy publiczności. Takie substratum zbiorowe uważa za konieczny warunek dla produkcyj pojedyńczych sztuczek. A popisując się swoją zręcznością, wciąż uderza o tę lub inną strunę psychiczną. Przyzwyczaja szeregiem czynów jednorodnych do tego, że kiedy je nagle przerwie, publiczność zgromadzona przecież widzi jeszcze dalsze ogniwo starganego już wątku. Złudzenie to potęguje on odpowiednio dobranemi słowami, giestami i mimiką. To znowu odwraca jej uwagę od jednego szczegółu na inny; albo działa tak szybko, że pojedyncze składniki nie dochodzą do świadomości. Zawsze jest psychologiem empirykiem. Działa zaś tak zręcznie, iż osoby, wyćwiczone w umiejętności spostrzegania i mimo że władają wszystkimi swoimi zmysłami, nie są zdolne oryentować się, gdy po raz pierwszy widzą jakiś figiel. Dopiero kiedy rozbiorą w swojej świadomości jego możliwy mechanizm i tem samem ułatwią sobie robotę dalszego spostrzegania przez usunięcie pewnych składników z uwagi, naówczas zdobywają zdolność dostrzeżenia właściwego fortelu, na którym polega dana sztuczka. Kuglarstwo więc jest przedewszystkiem nader zajmującym rozdziałem z psychologii złudzeń zmysłowych.

L. K.

PROTEST SPECYALISTÓW
W SPRAWIE PISOWNI AKADEMICKIEJ.

Czytelnikom *Prawdy* znaną jest uchwała Akademii umiejętności (d. 21 października 1891) w sprawie pisowni i następnie ogłoszenie jej w broszurze p. t. „Projekt ortografii polskiej, przygotowany przez Komisyę Rady szkolnej.“ Obecnie uczeni specyaliści: pp. Baudouin de Courtenay, Brückner, Kalina, Karłowicz i Kryński zaprotestowali stanowczo przeciwko projektowi. „Uchwały Akademii, zdaniem naszem — tak brzmi ich odezwa — są niedoskonałemi z trzech następnych względów: naprzód przeprowadzone i powzięte zostały nieformalnie, tj. nie według zwyczajów, zachowanych zwykle w podobnych razach przez ciała naukowe; powtóre, sformułowane są w wielu wyrazach nieumiejętnie, niejasno, a podane prawie wszędzie niewystarczająco, potrzecie są one w niektórych rzeczach wręcz sprzeczne z wynikami badań językoznawczych.“ Akademia przyznała wprawdzie specyalistom rzeczoznawstwo we wprowadzeniu „reform radykalnych a odmówiła prawa wyboru tego lub owego sposobu pisania, w czem dopuściła się nieodpowiedniego w logice postępowania.“ W ciągu dalszym mówi protest: „Przykro to wypowiedzieć, ale zamilczeć nie wolno, że elaborat, który sporządziła komisya Rady szkolnej p.n.: „Projekt ortografii polskiej,“ a który potem komisya Akademii przyjęła za punkt wyjścia i przedrukowała przy „Uchwałach,“ był i pozostanie dla jego autorów smutnem świadectwem stopnia ich uzdolnienia i ich znajomości rzeczy.“ Tak np. ów elaborat nazywa lingwistów filologami, pisownię miesza z morfologią i leksykologią, rozprawia o wymawianiu, zapominając o pisaniu, co miało być głównem jego zadaniem. Wyrazy „stawić“ i „rzadko“ mają być według niego „złożonymi“ i t. p. Między innemi „okręt“ zaliczony do wyrazów pochodzenia „swojskiego.“

Protest rozpatruje cztery punkty, mianowicie: 1) móc=módz, 2) zjadszy=zjadłszy, 3) gieograf=geograf, 4) Francja, Anglja=Francya, Anglia. Co do tych punktów, protest przemawia za pierwszymi, elaborat zaś za drugimi sposobami pisania. Przeciwko formie *módz* świadczy nietylko pisownia we wszystkich językach słowiańskich i w staropolskim, ale nawet prawo zwiększania spółgłosek, bo nie *dz*, lecz *c* jest cechą trybu bezokolicznego, przytem *g* tematowo (mog) nie może się zwiększyć przed cechą infinitiów *ti* (mog-ti). W *zjadłszy* zam. *zjadszy* niema *ł* tematowego, bo ono należy całkiem do innego imiesłowu. Gwoli jednolitości protest zaleca pisać: *gieografja* zam. *geografia*. Spółgłoska ta bowiem przed samogłoskami miękkiemi zawsze miękko się wymawia; dlatego niema istotnej różnicy w wymowie wyrazów *gie*zło (koszula), *gie*r (od gra) a *gie*nerał, *gie*ograf itp. W rzeczownikach żeńskich na *yja*, *ija*, np. ludowe Maryja z akcentem na przedostatniej, ludzie należący do sfer inteligentnych, przerzucają akcent na trzecią od końca, np. M*á*ryja, wskutek czego samogłoska przed *j*, zacierając się stopniowo, zniknęła, pozostało więc samo *ja*, które jednak zlać się z poprzedzającą spółgłoską nie mogło, gdyż do tego potrzeba innego procesu, tj. samogłoski miękkiej, a *ja* jest zgłoską, a nie samogłoską. Otóż protest przemawia za pozostawieniem tego *ja*, pisząc Francja, Anglja. Połączenie takie dźwięków widnieje np. w wyrazie *zjazd*, gdzie wszakże nie wymawiamy *ziazd*, tj. źazd.

Streściwszy wszystkie zarzuty, przytaczamy na zakończenie prośbę protestujących:

„1) Prosimy Akademię w imieniu nauki, którą się zajmujemy i w imieniu ogółu niezadowolonych z „uchwał październikowych,“ o ponowne i niezwłoczne ich przejrzenie;

2) Prosimy, aby Akademia raczyła czynność tę powierzyć językoznawcom specyalistom i

3) aby wniosków ich, które objąć powinny całość przepisów ortograficznych, raczyła wysłuchać i następnie, po dyskusyi, zatwierdzić je i jako moralnie cały ogół obowiązujące, ogłosić.“

Sądzimy, iż Akademia, nauczona doświadczeniem uchwał deputacyi, której wnioski, podawane przez niespecyalistów, jak np. Brodziński, Osiński itp., przedstawiają liczne braki, chwiejność, tudzież zasady nieumotywowane nawet przez ówczesny stan nauki—zechce uwzględnić życzenia specyalistów. Przedmiot ten wymaga sumiennej nauki, wiele trudu i odpowiedniego doświadczenia.

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE KSIĄŻKI.

Dr. Julian Weinberg, *Geozofia powstania i rozwoju kuli ziemskiej*, z 88 drzeworytami. Warszawa, 1894 (str. VIII i 328).

Jeżeli pojawienie się dzieła naukowego wogóle jest u nas rzadkością, tem bardziej powiedzieć to można o geograficznem. Ten objaw wyjątkowy wynika z dwóch przyczyn. Może on być rezultatem siły międzynarodowego prądu umysłowego i ekonomicznego, który nawet nas porywa; wszakże nomadzi Azyi centralnej, ci najbardziej typowi i uparci przedstawiciele zastoju, którzy niedawno jeszcze zapewniali Vamberego, iż łatwiej jest ziarnka lotnego piasku przygwoździć, niż ich skłonić do cywilizacyi — nawet ci nie mogli się oprzeć ogólnemu prądowi, wnikającemu do nich przez szyny kolejowe; cóż więc byłoby dziwnego, gdybyśmy umieszczeni w bramie przejściowej między dwiema częściami Europy, gdzie każdy krok wstecz, nawet każde zatrzymanie jest wyrokiem zagłady — gdybyśmy pojęli, że w obecnej fazie dziejowej umysłowe i ekonomiczne życie odosobnione jest zarodkiem śmierci, że każde zjawisko życia narodowego na jakimkolwiekbądź punkcie globu drgnięciem swem wywołuje koła fal, które odbiją się we wszystkich punktach pozostałych i zdławią, zaleją nieprzygotowanych: — gdybyśmy pojęli, że w tem wspólnem życiu całego globu, to znaczy w szalonym wirze zażartej walki na arenie wszechświatowej jednym z najskuteczniejszych orężów, jedną z najpewniejszych kierowniczek jest wiedza geograficzna w szerokiem tego słowa znaczeniu. Oto możliwy motyw pojawienia się u nas dzieła w tym zakresie, motyw, który gdyby się urzeczywistnił, byłby niezmiernie pocieszającym. Ale możliwym a niestety i bardziej prawdopodobnym jest drugi. Wśród przeciętności i zaściankowości naszego życia umysłowego rodzą się nieraz umysły od przeciętności różne, noszące jednak na sobie klątwę pochodzenia zaściankowego; są to samorodni filozofowie, oryginały, czasami nawet bziki; różnią się oni od wielu skłonnością do myślenia, ale nie posiadają czucia z ogólnym rozwojem myśli ludzkiej; niezdolni do samooceny, uniesieni dumą, rzucają się śmiało na odkrycie perpetuum mobile lub

Ameryki, nie wiedząc o tem, że odkrycie pierwszego jest niemożebne, a drugiej spóźnione, że nawet gdy starają się skromnie dokonać jakiegoś odkrycia możliwego i potrzebnego, to i wtedy nie ma ono żadnego dla nauki znaczenia, albowiem tym mniemanym „swojskim“ geniuszom brak odpowiedniego przygotowania. W pierwotnym okresie nauki każdy profan mógł wstąpić do tego gmachu i położyć w nim swój kamyk, lecz dziś inaczej: gmach ten stał się już olbrzymem, wkraczającym w obłoki, dla położenia kamienia trzeba przebyć wszystkie szczeble i stanąć na szczycie, więc być wdrożonym do wielkich wysokości i szerokich widnokręgów, trzeba mieć i oddech głęboki i oko pewne, i głowę niezawrotną. Mówiąc krótko, motywem pojawienia się u nas dzieła geograficznego może być dziwactwo, bzik! W kraju, gdzie prace geograficzne, liczące się z nauką, leżą w rękopisie lata całe, a nikt nie odczuwa potrzeby ich wydania, nawet ci, których jest to obowiązkiem, w kraju takim ten drugi motyw jest prawdopodobniejszy—co stwierdza wyżej zatytułowana książka.

Jest ona stekiem: 1) faktów błędnych, 2) poglądów przestarzałych lub bezsensownych i 3) odznacza się ideą przewodnią, czyli metodą taką, dla której określenie *nienaukowa* byłoby zbyt delikatne. Twierdzenie powyższe musimy poprzeć przykładami.

Góry, według autora, zostały „usypane przez prądy morskie,“ które przytem „pożłobiły w nich różne esy floresy, kręty i zakręty“ (str. 111, 112).

Doliny i jeziora powstały wskutek rozciągania się i pękania skorupy pod morzem; jeziora więc takie, jak Genewskie, Königssee itd. są pozostałościami morza, jak o tem świadczy barwa wody. Autor ani się domyśla, że Forel na podstawie studyów wieloletnich napisał wielkie dzieło o jeziorze Genewskiem. (Sposób dowodzenia przypomina owego samorodnego lekarza, który radził bladym pić barszcz burakowy, aby nabrali rumieńców).

Planety krążą po elipsoidach, tj. prawie elipsach; w paraboli dwa boki są równoległe. Kopernik dowiódł dopiero kulistości ziemi. Spłaszczenie jej wynosi $^1/_{219}$ *osi* (autor ma na myśli spłaszczenie Beisla i oś wirowania). Afryka ma największe wyniesienie we środku. Chińczycy stoją najwyżej śród ludzkości pod względem wiedzy.

Wobec tego niema już co wspominać o błędach takich, jak np. że epoka lodowa była wynikiem wiatrów wilgotnych, wiejących od mniemanego (trzecio a nawet czwartorzędowego!) morza saharskiego; że głazy narzutowe naszej równiny zostały przyniesione przez fale oceanu i t. d.

Teraz parę przykładów bezsensu i dziwactwa: „Komety są przejściem od idei do materyi.“ „Cieplik jest iście materyą przez zmysły poznaną. Idea nie może być skojarzona z materyą zmysłową“ „Tylko eter kosmiczny, pozbawiony cieplika, mógł być doprowadzony do takiej gęstości, aby wytworzył rozpalone słońce, jak woń róży wytworzyła olejek różany.“ „Ludzie powstali drogą samorodztwa (jak np. pasorzyty na ciele ludzkiem) na wysokich górach i byli początkowo drobni, jak dzieci; potem powstały małpy, dalej zwierzęta roślinożerne, wreszcie mięsożerne, *celem* ograniczenia zbytniego rozrodzenia się roślinożernych.“

Ostatnia uwaga prowadzi nas do metody autora. Mając wstręt do cyfr, nie argumentuje; jego metoda badania polega na „głębokiem przekonaniu, ufności i wierze“; dla dojścia przyczyny jakiegoś zjawiska, dla rozstrzygnięcia kwestyi spornej, autor zadaje sobie pytanie, *jaki to zjawisko może mieć cel dla człowieka*, przytem charakterystycznie to formułuje: „Czy Bóg stworzył tabakę dla nosa, czy nos dla tabaki?“ Naturalnie, odpowiedź nie może być dwuznaczną. A więc: soli dlatego jest na ziemi dużo, aby ją bydło mogło lizać i służyć na pożytek człowiekowi; żelaza jest dużo, aby ludzie mieli z czego wyrabiać narzędzia. Wulkany dlatego wybuchają, aby dostarczyć kwasu węglanego, wzmódz roślinność i tym sposobem mieć pieczę o pożywienie człowieka, dostarczyć mu „chleba powszedniego.“ Ziemia nie kurczy się, jak mylnie sądzą uczeni (szkoda słów na obalenie takiej budowli z kart), lecz powiększa się. Gdzie argument? Trzeba być hebesem, aby go nie widzieć: wszak ludzie się mnożą (autor „tulenie się cząstek i mnożenie“ uważa za kategoryczny imperatiw świata), więc ziemia musi się powiększać, aby im dostarczyć miejsca: zwiększanie się liczby ludzi, a zarazem zmniejszanie się ziemi uważa za bezsens godny półgłówka. Podobnież twierdzi, że energia słońca wciąż się powiększa, aby nasi potomkowie mogli sobie na Franz Joseph-Landzie budować takie wille, jak my dziś w Abazyi. Z tego porządku świata autor jest mocno zadowolony i wykrzykuje: „zaprawdę, gdyby mnie danem było nową kulę ziemską stworzyć, korzystałbym z dobrego przykładu, jaki obecna przedstawia.“

Autor spóźnił się nieco: metodę taką znamy z dziejów nauki, mianowicie z jej studyów pierwotnych lub okresu zaćmienia; na podstawie tego rodzaju dociekań „ufający“ doszli do niewzruszonych wniosków, że np. lądu musi być na ziemi więcej, niż wody, bo jakżeby mogło być dla człowieka mniej miejsca, niż dla ryb? Deszcz nie pada na pustyni, bo tam ludzie nie mieszkają; rzeki płyną dlatego pod wielkiemi miastami, aby ludzie mieli dostatecznie wody itd.

Zresztą nie wątpimy, że i dzisiaj autor nie pozostanie odosobnionym: znajdzie on uznanie u dusz pokrewnych, których szczególnie u nas nie zbraknie: są przecież ludzie, których siły były za słabe do wytrzymania w cywilizacyjnym wyścigu, którzy „na schyłku wieku“ ulegli „bankructwu umysłowemu,“ zerwali z „marną nauką“ i zwrócili się ku uczuciu, „legendom“ i misteryom, szukając tam ucieczki niby australczyk, który, skończywszy uniwersytet, ucieka na pustynię, aby tam razem ze swymi dzikimi braćmi chodzić nago, spożywać padlinę i czcić węże, a w rezultacie uledz zagładzie pod miażdżącym rydwanem cywilizacyi.

My jednak nie jesteśmy zwolennikami porzucania zdobytych placówek i dlatego sądzimy, że jakkolwiek według zapewnienia autora „przyroda była dlań łaskawa i otworzyła mu drobną szparkę w ciemnej i gęstej osłonie, zachęcając do poperania,“ to jednak ta zachęta na nic się nie zdała. Widocznie autor, który, jak nas zapewnia w przedmowie, zwiedzał liczne źródła lecznicze i tam nabył swych idei geograficznych — nie natrafił dotąd na źródło skuteczne.

Wacław Nałkowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Podania kobiet.—Nowa kolej.

Już od pół roku blizko sprawa dopuszczenia kobiet do studyów uniwersyteckich jest przedmiotem dyskusyj prywatnych i polemiki publicznej. Poruszona przez panią Bujwidową, zakłóciła spokój drzemiących w jasny dzień puhaczy, a uśmiechnęła się nadzieją licznym zastępom kobiet, które po kruszynę wiedzy biedz musiały daleko, w strony obce, w stosunki nieznane, do środowisk, gdzie niedostateczna częstokroć znajomość mowy miejscowej uniemożliwiała studentkom bodaj ukrycie się pod dziurawym sztandarem nędzy nauczycielskiej. Krakow otworzy kobietom wszechnicę! A więc wracajcie panie z Genewy, Zurichu i Paryża! Lata tułaczki waszej skończone, bo patrzcie oto, łaskawe pany przygarnąć wam się pozwolą do waszego własnego kąta. Łaska niebywała dotąd—niesprawda? To też pojęły ją kobiety i w odpowiedzi nadesłały kilkadziesiąt podań, których treść jednaka była: pokorniutka prośba o miejsce na studenckiej ławce. Puhacze, przerażone perspektywą codziennego ocierania się o rzecz nieznaną, skrzywdzone samem już tylko posądzeniem ich o możność pozbycia się jednego milimetra tej pleśni, która stanowi ukochaną ich atmosferę, podniosły między sobą wrzawę na trwogę i postanowiły bronić śmieci swoich wszelakim sposobem. A więc wyciągnięto przedewszystkiem jakiś omszały reskrypt ministeryalny i na jego podstawie odpowiedziano petentkom, co następuje: „W myśl istniejących przepisów ogólne przyjmowanie kobiet na studya uniwersyteckie nie może być dozwolone, ponieważ jest to zasadniczą podstawą naszego systemu szkolnego, że przynajmniej wyższą (!) naukę osoby różnej płci powinny pobierać oddzielnie. Wobec tego można dozwolić kobietom uczęszczać na wykłady uniwersyteckie tylko w wyjątkowych okolicznościach, które z osobna zbadać i ocenić należy. Byłoby to możebnem nasamprzód w ten sposób, izby się odbywały osobno, wyłącznie dla kobiet przeznaczone wykłady... Ale i w tym wypadku należałoby za każdym razem uzyskiwać zezwolenie ministeryum na rozpoczęcie lekcyi. Natomiast na wykłady uniwersyteckie, przeznaczone dla młodzieży męskiej, należy dozwalać kobietom wstępu jedynie w nader rzadkich wypadkach. Decyzya zależy najpierw od wydziału w porozumieniu z odnośnym docentem; gdyby jednak zdanie wydziału nie godziło się z poglądem docenta, należy odmówić... Jednakże i w tych wyjątkowych przypadkach, gdy dozwoli się kobietom uczęszczać na wykłady, nie należy ich ani imatrykułować, ani przyjmować w charakterze nadzwyczajnych słuchaczek, lecz trzeba im jedynie udzielić pozwolenia uczęszczania na ściśle oznaczone wykłady w charakterze gości (hospitantek). Również nie można im wręczać ani dokumentu, dotyczącego wstępu na wykłady, ani też udzielać urzędowego poświadczenia, że na nie uczęszczały...“ Zakończenie odpowiedzi brzmiało: „Wobec tego reskryptu wydział filozof., nie mogąc uwzględnić nadesłanego podania pani X. może jedynie poddać dalszej jej rozwadze: 1) czy stosownie do brzmienia reskr. min. może Pani wykazać szczególne powody, któreby wydział mógł wyjątkowo uwzględnić; 2) czy Pani zechce w tym zakresie, na jaki reskr. min. dozwala z niektórych wykładów korzystać i w takim razie odpowiednio *zmodyfikowane*, i *umotywowane dokumentami poparte* podanie nadesłać“ *). Machiawelizm tej odprawy był aż nadto widoczny... Żebrak przyjmuje jednak każdą jałmużnę, kobiety tedy i po ten datek ośmieliły się wyciągnąć rękę. Ponieważ wiedziały nadto, że lokaje tańczą tak, jak pan gwiżdże, przeto korzystając z pobytu ministra oświaty, p. Madejskiego, w Krakowie, na osobnem u niego posłuchaniu sprawę mu przedstawiły i dowiedziały się że: 1) pan minister wyższemu kształceniu się kobiet jest przychylny; 2) poprzestać muszą na charakterze hospitantek, gdyż ustawy austryackie nie pozwalają, aby kobiety praktycznie z zawodu naukowego korzystały; 3) z chwilą, kiedy ministeryum spraw wewnętrznych ustawę tę zmieni, on, p. Madejski, stosowne prawa również kobietom nada (!!!). Zaznaczamy w tem miejscu, że kobiety popełniły błąd polityczny, nie postaramy się, aby zdanie pana ministra w całej swojej „jasnej“ okazałości podrażniło ślepe oczy puhaczy... Posłały tylko na ręce wydziału „zmodyfikowane i motywowane“ podania, które mniej więcej mówiły: „Odebrałyśmy wykształcenie niedostateczne, więc pod „światłym“ kierunkiem profesorów może potrafimy zapełnić luki. Mamy mężów, dzieci, rodzinę, wyjeżdżać i zaniedbywać „obowiązków żon i matek“ niepodobna. Nadto brak nam na wyjazd środków. Praw żad-

*) Przytaczamy dosłownie; za styl ludzi „wyższej nauki“ odpowiedzialności nie przyjmujemy.

nych nie żądamy, chcemy się uczyć—i tylel...“ Zdawało się, że w stosunku *ludzi do ludzi* motywy to będą dostateczne. Tymczasem wbrew wszelkim pogłoskom i oczekiwaniom odpowiedź prześwietnego wydziału zaznacza, że *również* w myśl owego sławnego reskryptu „grono profesorów wydziału filozof. na posiedzeniu z dnia 19 b. m. uchwaliło, odpowiedzieć na prośby odmownie, ponieważ panie nie przytoczyły takich wyjątkowych powodów, któreby odpowiadały warunkom wymaganym.“ Zaiste, świat uczonych nie będzie, albo... może i będzie wiedział, do jakiej kategoryi zoologicznej zaliczyć areopag wszechnicy Jagiellońskiej. Stęchłe mózgi tych panów zdobywają się nadto jeszcze na frazes: „poco się baby mają uczyć, kiedy nie będą miały praw, bo p. minister powiedział przecież, że nie pozwalają na to ustawy, których *zmieniać teraz nie ma powodu*... Ot co, i zdaje się nam, że w tem właśnie sęk! „Pan minister powiedział!“ Kto wie, jakby wypadła odpowiedź służalczej zgrai, gdyby dokładnie była wiedziała, co myśli, myślał i myśleć będzie—Szaman. Przypuszczono tylko na przyrodę trzy słuchaczki, które ostatecznie w przyszłości będą się mogły przecież wyżywić gdzieindziej w krajach, które tolerują uczone cudaki w spódnicach...

Między Zakopanem a Chabówką wybudowana będzie kolej żelazna. Zbyteczna przedstawiać dobrodziejstwa wygody dla licznie napływających w te strony kuracyuszów. Co ważniejsza—droga podniesie niewątpliwie stan przemysłu okolicy, którą przecinać będzie. Obszar, objęty projektowaną linią, wynosi 1300 km. kw., a posiada ludności 75,000 dusz. Hr. Zamoyski, który projekt wypracował, oblicza, że sama produkcya tartaków parowych, oraz stęp do tłuczenia kory w Rabie Niżnej, Klikaszowej, Zakopanem i po stronie węgierskiej, wyniesie 1500 wagonów rocznie. Fabryki masy papierowej w Zakopanem zapełnią ze sto wagonów, drzewo nagromadzone na 20,000 morgach w Zakopanem, Szaflarach, Białym Dunaju itd., ruda żelazna, srebrna, wapno, cement, marmur i granit stanowić będą również pokaźną cyfrę wywozu. Podobnie jak w Styryi, Bośnii i Hercogowinie, projektują i dla Zakopanego kolej wązkotorową na 47 km. długą. Byłaby to znaczna oszczędność, bo podczas gdy koszt budowy kolei o zwykłym torze wynosi na kilometr 69,000, tyleż drogi wązkotorowej wyniesie tylko 29,000 złr. Czas trwania budowy obliczono na lat cztery, koszty—na 1,383,210 złr. Dwie trzecie wydatków ponosić ma fundusz krajowy, jedną trzecią hr. Zamoyski; chyba, że rząd zechce, aby nowa linia stanowiła gałąź sieci galic. kolei państwowych, łączących kraj z Węgrami. W tym razie sam poniósłby lwią część nakładu.

Ferropar.

Listy z Anglii.

Nadmieniłem w jednym z pierwszych moich listów o sporach, rozpoczętych na początku roku bieżącego w murach londyńskiej rady szkolnej. Dziś, gdy szczęk oręża polemicznego napełnia całą stolicę Królestwa Zjednoczonego, gdy obie strony dostatecznie się wypowiedziały, zanim wyborcy rozstrzygną walkę, wypada nam zapoznać czytelnika bliżej z jej treścią.

Przedewszystkiem co to są rady szkolne? Podręcznik polityczny da nam odpowiedź, że to ciała samorządu w zakresie swej działalności, obejmujące jedną gałąź administracyi krajowej, a mianowicie szkolnictwo ludowe. Na kontynencie Europy, gdy mówimy o ciałach samorządu, wyobrażamy sobie pewne przedstawicielstwo obrębu geograficznego, gminy, powiatu lub prowincyi, mianowane przez wybory lub władzę zwierzchniczą i mające zadośćuczynić najrozmaitszym potrzebom danego okręgu. W Anglii takie terytoryalne ciała samorządu istnieją wprawdzie, ale od niedawna; rady hrabstw zostały powołane do życia zaledwie w 1888 r., gminne przeszły wprawdzie w r. b. przez obie Izby prawdawcze, ale nie wyszły jeszcze z łona narodu, tj. nie zostały wybrane. Administracya w odróżnieniu od rządu spoczywa po dziś dzień w rękach organów, różniczkujących się także na zasadzie podziału pracy. Rys ten samorządu angielskiego wynika z bardzo ważnego w poznaniu Anglii faktu społecznego.

Komórki angielskiego życia narodowego, które utraciły swą samobytność i świadomość z narodzinami feudalizmu, zaczynają powstawać ze swego kilkowiekowego letargu dopiero z ustaleniem się przewrotu ekonomicznego w XV i XVI stuleciu, a mianowicie w dwóch następnych wiekach. Nowe potrzeby administracyjne, wynikające z życia gospodarczego, są matką angielskiego *selfgovernement*'u, który nie przekracza nigdy granic uświadomionych potrzeb społecznych. Gmina angielska (parafia) np. odradza się, dzięki prawodawstwu Elżbiety (zr. 1601) o wspieraniu ubogich, których liczne gromady, oderwane od roli, przepełniają miasta nowonarodzone. Wślad za tem idą nowe zarządy kościelne, komitety dróg komunikacyjnych, później komitety zdrowotności itd., stosownie do budzących się potrzeb w tej lub owej części kraju. W ten sposób w samej Anglii i Walii powstało blizko 30 tysięcy różnych organów samorządu miejscowego. O szkołach nie myślano, bo oświata znajdowała się w rękach kościoła państwowego lub też różnych prywatnych stowarzyszeń i... przedsiębiorstw. Czytelnicy zapamiętali zresztą rok 1870, w którym Anglia przeprowadziła u siebie pierwsze organiczne prawo o szkolnictwie ludowem. Własnie wtedy utworzono „rady,“ które wszakże nie istnieją w każdym okręgu szkolnym. Powstają one bądź z inicyatywy obywateli, bądź też na podstawie rozporządzenia „departamentu wychowawczego“; gdzie nie ma rad szkolnych, istniejące ciała samorządu powołują do życia „komitety okręgowe,“ mające czuwać nad wykonaniem prawa z roku 1870, a w szczególności t. zw. „klauzuli o tolerancyi“ (o czem niżej). W Anglii (właściwej) wraz z księztwem Walii było w r. 1893 2,331 rad szkolnych, wybranych przez $^3/_5$ ludności; pozostałe $^2/_5$ zadawalały się komitetami,“ mianowanymi przez rząd, rady miejskie itd. Powiedzieliśmy, że „komitety czuwają nad wykonaniem prawa; dodajmy, że „rady szkolne“ oprócz zadań komitetów, mają jeszcze obowiązek dostarczania „narzędzi oświaty“ dla ludności swych okręgów. Jeżeli przypomnimy, że do r. 1870 stowarzyszenia religijne lub świeckie były jedynymi organizatorami szkół ludowych, to pojmiemy różnicę między komitetami a radami; pierwsze są tam, gdzie szkoły prywatne (*voluntary*) zaspokajają potrzeby ludności, rady zaś zaprowadzono w tych okręgach, gdzie wymagane są szkoły państwowe. Istnienie szkół „prywatnych“ jest, jak to zobaczymy, główną przyczyną walki dzisiejszej.

Prawo z r. 1870, które w Izbie gmin przeszło 421 głosami przeciw 60, ustanowiło między innemi zasadę tolerancyi. Spór istniał nie między różnemi wyznaniami; szło tylko o wzajemne dobre pożycie kościoła państwowego z różnemi „sektami“ protestanckiemi, do których prawie połowa ludności należy. Zasada tolerancyi polegała mianowicie na tem, aby w wykładzie religijnym unikano nauki dogmatów za pomocą ograniczenia zadań nauczyciela do wpajania zasad „moralności i religii,“ trzymania się ściśle czytania Biblii. „Kompromis“ taki otworzył wszystkim możność nauczania w szkołach ludowych i zarazem usunął zatargi religijne z pod dachu oświaty elementarnej. Spokój ten trwał aż do początków r. b., gdy w londyńskiej radzie szkolnej stronnictwo klerykalne, stanowiące większość, uzupełniło powyżej podane słowa: „moralność i religia,“ określeniem —„chrześciański,“ poprzedzającem oba pojęcia, przyczem ciało samorządu, a zatem zarządu, zajęło się określaniem chrześcianizmu, wchodząc na drogę dogmatów i sporów teologicznych. Okoliczność ta wywołała burzę także w ciele nauczycielskiem, gdzie na 9,000 blizko pedagogów ludowych rady szkolnej, większość jest obcą kościołowi państwowemu.

Oburzenie ludności było powszechne. Wybitni dygnitarze kościoła anglikańskiego, unikający z zasady walki, oświadczyli się z początku przeciw „gorliwym“ z rady szkolnej. Nawet biskup Londynu zgromił swą rzeszę z pierwszych szeregów. Panowie kaznodzieje Riley, Coxhead oraz przewodniczący rady, Diggle, nie ustąpili wszakże ani kroku, nie pohamowali swych zapałów i dobili się wreszcie tego, że wybitni przedstawiciele kościoła zaczynają już dziś popierać dążności, niedawno jeszcze przez nich potępiane.

Czegóż chce większość dzisiejsza, zwana tu „diggleistami“? Czyż chodzi im o zatarg teologiczny? Z aktu oskarżenia, z którym stronnictwo postępowe wystąpiło przeciw dzisiejszej większości w radzie szkolnej, okazuje się, że naruszenie tak zwanego kompromisu tolerancyjnego z r. 1870 jest tylko koroną całej polityki wstecznej, mającej przedewszystkiem na celu bądź zmniejszanie szkół rady, bądź też postawienie tych ostatnich na niższym poziomie, aiżeli szkoły prywatne. Rezultatem tej polityki jest niemożność umieszczenia około 40—50 tysięcy dziatwy w szkołach, przeciążenie nauczycieli pracą, odmawianie wszelkich potrzeb wykładowych, wreszcie takie zaniedbywanie strony zdrowotnej, że sądy musiały przedsięwziąć przeciw radzie bardzo energiczne środki, dochodzące do zamykania *państwowych* szkół, jako szkodliwych dla zdrowia publicznego. A zatem— powie czytelnik—ludność londyńska powołała do rady szkolnej przeciwników oświaty... Przypuszczenie to nie da się wszakże pogodzić z faktem, że właśnie członkowie większości są członkami, i to bardzo gorliwymi, różnych prywatnych stowarzyszeń szerzenia oświaty ludowej. Jakże pogodzić ten fakt z ogólną polityką londyńskiej rady szkolnej?

(D. n.).

W. Nadolski.

Damscy kaznodzieje.

Przeglądając niektóre nasze pisma, możnaby zrobić takie przypuszczenie: albo, że niema lepszego i moralnie doskonalszego społeczeństwa nad nasze, żadne inne bowiem nie mogłoby się chyba poszczycić również poważną liczbą proroków, kaznodziejów, mentorów, doradców, kierowników, jednem słowem, nauczających, jak nasze—lub też naodwrót: że nie ma lichszego i więcej moralnych nauk potrzebującego, niżeli właśnie to nasze.

Ale i jedno i drugie przypuszczenie byłoby mylne, bo oto zjawisko, o którem mowa, ma swoją przyczynę, nie tak głęboką, przedewszystkiem bardzo prostą: potrzebę wygadania się. Jest ona dosyć powszechna i ogólno-ludzka, ale chyba nigdzie w tym stopniu, co u nas. Zdawałoby się rzeczą

naturalną, że się przemawia wówczas, gdy ma coś do powiedzenia — broń Boże! u nas przeciwnie, im mniej mają do powiedzenia, tem więcej mówią. Ażeby dać dowód zwodniczości przysłowia: „z pustego i Salomon nie naleje,“ usiłują wypompowywać z naczyń do myślenia perory, nauki, morały, ogólniki, banalności wszelkiego rodzaju, byle więcej, a już najobficiej nauki dla niewiast. To też lada pismak, ciura, który na innem polu trzech zliczyć nie umie, tu rej wodzi i jak z kazalnicy prawi, co kobiecie trzeba, czego nie, co po powinna, czego nie, losy jej rozstrzyga, przeznaczenia palcem wskazuje. Żaden ksiądz za najbogobojniejszych czasów nie przestrzegał z równą gorliwością obowiązków człowieka, jak ci pismacy zadań kobiety. Ma to swoją zabawną stronę, ale i nader smutną, gdyż bądź co bądź, światu kobiecemu przynosi krzywdę, a nam świadectwo, jak dla wstecznictwa i obskurantyzmu mamy zawsze ramiona szeroko otwarte, a wobec utarczki silniejszego ze słabszym, mężczyzny z kobietą, walki z natury rzeczy ciężkiej i nierównej, gotowiśmy zawsze, choćby tylko milczeniem, sekundować silniejszym, bez względu, jaką oni bronią walczą i jakich środków do niej używają. Jest to jeden dowód więcej, jak koniecznie potrzeba kobiecie wydobyć się z krępujących ją dotąd powijaków, stanąć o własnych siłach i tak się usposobić, żeby o swych losach sama myśleć i swoich przeznaczeń sama pilnować mogła.

Oto uwagi, jakie mi się nasuwały już nieraz pod wpływem czytania przeróżnych artykułów, a ostatecznie — p. Adama Dobrowolskiego, drukowanych niedawno w *Tygodniku ilustrowanym* p. t.: „Idea a artyzm Emancypantki Prusa“. Jeżeli elukubracyę tę myślę tu bliżej rozpatrzyć, to nie dlatego wcale, żeby tego wartą była, ale że może posłużyć jako żywy fakt, potwierdzający powyższe uwagi. Na wstępie muszę podnieść jedną, jedyną zaletę autora tej pracy, a mianowicie, że nie roszcząc pretensyi do oryginalności, stawia swoje wywody tylko jako podporę dla teoryi Prusa. Skromność ta byłaby zupełnie na swojem miejscu, gdyby nie niefortunny wybór pierwowzoru. Prus, jakkolwiek pisarz bardzo zasłużony i pełen talentu, ma, niestety, ten sam zły zwyczaj, że pisze chętnie o rzeczach niezupełnie sobie znanych (może to zresztą wynika z jego obowiązków dziennikarsko-kronikarskich, które czasem wykoszlawiają duże talenty) i wówczas fantazyuje z wielką zręcznością. Otóż takim ulubionym przedmiotem do fantazyi Prusa była zawsze i jest sprawa kobieca. Z niebaczną rozrzutnością zapełnia nią swoje kroniki tygodniowe, dowodząc, że do płci kobiecej ma wyraźny afekt, ale do jej psychologii wzrok za krótki. To też p. Dobrowolski, który również ujawnia wszelkie właściwości krótkowidza, czyni nieostrożnie, kiedy dla dokładniejszego rozpatrzenia się w sprawie emancypacyi kobiet chce patrzeć oczami Prusa, przypominając nam ową bajkę: „prowadził ślepy kulawego...“

A teraz określiwszy, jak p. D. patrzy, zobaczmy, co mówi. Na początku twierdzi, że o sprawie kobiecej nic nowego powiedzieć się nie da, ale zamiast w lot skorzystać z tego pysznego spostrzeżenia i nie mówić nic, zabiera się do zadania nader niewdzięcznego: powtarzania rzeczy starych i żeby to chociaż prawdziwych, jak przypuszcza — ale gdzież tam! z prawdą mających tyle wspólnego, co jastrząb z bożą krówką. I tak w imię tych starych prawd zapytuje z emfazą: „Jaka może być psychologiczna przyczyna, że kobieta inteligentna, średniozamożna, niebrzydka(!), zdrowa i pełna zasobów fizycznych, zaczyna marzyć o samodzielności, tj. o pójściu w świat bez opieki męzkiej?“ I nie szukając długo ani daleko, spieszy odrazu z odpowiedzią: „*Próżność i ambicya*, to jest przyczyna, *to są dwie przyczyny, wywołujące cały ruch emancypacyjny*.“ Nic więcej? Istotnie nie tak wiele. Otóż naprzód muszę zaznaczyć, że *próżność i ambicya*, szukające sobie ujścia w pracy, nauce, w pogoni za zdobyciem samodzielności, nie są jeszcze w tak złym gatunku, jak sobie p. D. wyobraża. Są gorsze i, niestety, znacznie liczniejsze, chociażby próżność błyszczenia toaletami (*nb.* za pieniądze mężowskie) lub olśniewania przyjęciami, na które nawet mężowskich pieniędzy niema; ale te próżności, zdaje się, pana D. tak nie rażą. Następnie chciałabym i na to zwrócić uwagę, że autor samo pytanie postawił bardzo niedołężnie, bo pomiędzy „najwięcej marzącemi o samodzielności“ średnio zamożnych i tak wszechstronnie we wszelakie dobra wyposażonych jest procent nadzwyczaj mały. Nie średniozamożne i nie wszechstronnie wyposażone stanowią istotnie żywioł emancypacyjny. A jeżeli i takie jednostki w nim się znajdują, czegóż to dowodzi? 1) Że i w „niebrzydkich i w średniozamożnych“ i t. d. budzi się również poczucie praw człowieczych, praw do swobody choćby dla swobody samej, do szerszej działalności, do wszechstronniejszego używania swych władz psychicznych, słowem — do pełniejszego życia; 2) że inteligentne i niebrzydkie itd. nie zawsze znajdują opiekę męzką lub też znajdują niewystarczającą, albo wcale nieodpowiednią. Największej wszakże liczby walczących o samodzielność dostarczała i dostarcza zawsze bieda, nędza, dziurawe buty i pusty żołądek. Jakże pan myśli, p. Dobrowolski, czy nie są to czynniki, godne stanąć obok pańskich „próżności i ambicyi“? Pan może przypuszcza, że kobieta rodzi się już gotowa w balowej toalecie, z bułką w zębach, z dukatami w jednej kieszeni a z kwitkiem na poczciwego męża i opiekuna w drugiej. Widziałam już dziecko z głową cielęcą, a takiej kobiety jeszcze nigdy. Albo pan może myśli, że starych panien nie ma wcale na świecie, lub też, że jest tak mało, iż o ich losie i myśleć nie warto, chociaż dziś już i o pudlach myśli się trochę? Bezwzględna samodzielność kobiety jest chimerą — zapewne! Wogóle bezwzględna samodzielność człowieka, swoboda, wolność, szczęście — wszystko to chimery, ale komuż, u licha, o chimery chodzi, o abstrakcye? Jeżeli mówimy o samodzielności, to prosta rzecz o takiej, jaką wedle praw natury mieć można, a jakiej tylko wedle praw męzkich dotąd osiągnąć się nie dało. Tylko o takiej. O jakiej zaś p. Dobrowolski myśli? Istotnie tego dojść trudno, bo droga tam prowadzi przez straszną gmatwaninę. O ile z tych powikłań z trudem treść wyłowić zdołałam, to p. D. tak sobie rzecz zbudował: „Kobieta, która zdobywa samodzielne stanowisko, musi się tem samem zrzec praw serca (?), bo nie może ona tworzyć rodziny (?); a że tylko w rodzinie jest dla niej *uczciwe* zadośćuczynienie wymaganiom serca, kobieta ze stanowiskiem musi upaść moralnie, a od upadku tego nic jej nie wyratuje i poniesionych strat moralnych nie wynagrodzą jej żadne doktoraty, ani dyplomy, ani stanowiska (ale może od moralnych strat zabezpieczą?).“ Jedna godność własna (?) mogłaby ją uratować, ale cóż, kiedy i tę, według obliczeń autora, wraz ze zdobyciem samodzielności traci.

Jakże się czytelnikom wydaje ta logika? Warta unieśmiertelnienia? Bo to niby rodziny legalnej ta nieszczęsna samodzielność stanowić nie może, a nielegalną może; tu praw serca zrzekać się musi, a tu zadaje się w jakieś konszachty sercowe? Dziwne! Albo jak z tą godnością stoi — niby to „własną,“ a niech-no tylko jej właścicielka na swoją rękę samodzielnie żyć zacznie, godność serca zanika! Cóż, u Pana Boga! Ale to według tego najcnotliwsze powinny być mężatki — a ponoć tak nie jest?

W jednym tylko wypadku p. D. pozwala kobiecie „dążyć do wyżyn umysłowych,“ jeżeli to czyni w celach rodzinnych. No, ale jakże i to pogodzić? W celach rodzinnych podejmować coś, co samo w sobie zostało uznane *orbi et urbi* za anti-rodzinne?

Dalej skarży się p. D., że kobiety emancypowane mówią z lekceważeniem o swych obowiązkach macierzyńskich... Jeżeli tylko mówią z lekceważeniem, to pół biedy; ale jeżeli je lekceważą w istocie, to dowodzi właśnie, że się z głupoty jeszcze nie wyemancypowały dostatecznie.

(D. n.).

M. Dulębianka.

PAMIĘTNIK.

Co produkować?

W gazetach ruskich, zarówno jak w naszych, sprawa taniości zboża i związana z nią kwestya przesilenia rolnego jest przedmiotem ciągłych rozpraw, rad i zmartwień. Przechodziła ona rozmaite momenty, a obecnie osadzono ją na osi taniego „kredytu,“ na której ma się z powodzeniem obracać i zawieźć ziemian do lepszej doli. Ale z tym nieszczęsnym kredytem powtarza się ta sama historya, co ongi z rentą gruntową. Kiedy rolnicy zaczęli narzekać na zmniejszone dochody ze swych majątków, powiedziano im — zresztą bardzo słusznie: wyszrubowaliście do urojonej wysokości cenę ziemi i chcecie, ażeby ona wam dawała odsetki od fikcyjnej sumy; zniżcie tę sumę, a będziecie z procentów zadowoleni. Ci i owi zrobili to i zamiast np. 100,000 rs. zapisywali w swoim rocznym bilansie 75,000 jako wartość swego majątku. Ale ta redukcya nie zmieniła na lepsze coraz smutniejszego położenia wobec zwiększającej się taniości płodów rolnych. Bo czy ktoś oszacował swój majątek na 100,000 rs., czy na 75,000 pozostawał nieusuniętym fakt, że cena targowa zboża nie opłacała kosztów jego produkcyi. Odkąd wytwórca sam drożej płacił za korzec żyta lub pszenicy, niż go sprzedawał, nie pomagała mu żadna poprawka buchhalteryjna. Ten proces powolnego bankructwa trwa dotąd, a nie powstrzyma go nawet najtańszy kredyt, dopóki producent zboża po obrachowaniu swych wydatków i zysków otrzymuje w rezultacie straty. Więc cóż począć? Czy zupełnie porzucić tak zawodny warsztat pracy, jakim jest ziemia, czy też zużytkować go w innym kierunku? Tylko dzieciak mógłby dać radę pierwszą, natomiast wszyscy ludzie dojrzali oddawna oświadczyli się za drugą. Nasze chmiele, cykorye, nasiona traw i jarzyn, sady owocowe, stawy rybne itd., które od pewnego czasu rozwinęły się z uszczerbkiem uprawy zbóż, są szeregiem dowodów praktycznych, a często nader wymownych przesuwania na inne tory gospodarki rolnej. Z wyjątkiem rutynistów lub niedołęgów, dziś każdy inteligentny rolnik pojmuje, że musi przejść od wyłącznej produkcyi zbóż, która mu się nie opłaca, do jakiejś innej, która by mu należycie wynagradzała pracę. Ale do jakiej? W tem pytaniu tkwi główna trudność. Każdy bowiem wie, że tu i owdzie dają dobry dochód chmielniki lub plantacye cykoryi, ale równocześnie słyszy ostrzeżenia, że w tych gałęziach przemysłu objawiła się nadprodukcya, która grozi rynkowi przepełnieniem. Czy podobna wobec tego strachu wyłazić z jednego błota i pogrążać się w drugie, niewątpliwie gorsze, bo wymagające nowych nakładów, zwykle czerpanych z wysoko oprocentowanej pożyczki? Logika, po

drodze życia kawałkami zbierana wiedza, wreszcie obiegające prasę wieści dowodzą, że są jakieś niewyzyskane dotąd u nas pola pracy rolnej, ale jakie, nikt dokładnie powiedzieć nie umie. Rada sąsiada, przyjaciela, przygodnego towarzysza podróży, zaimprowizowanego ekonomisty lub reportera nie daje dość bezpiecznej podstawy do oparcia na niej kosztownego przedsięwzięcia, ani też rękojmi, że ono nie runie pod druzgocącym zawodem. Kto to odważy się zarzucić siew żyta i pszenicy, zburzyć całą swą gospodarkę i rozpocząć np. uprawę cykoryi dlatego, że podobno według czyjejś opinii ma ona być poszukiwaną na rynku! Tu potrzeba wskazówek ścisłych i rzetelnych. Skąd je zaczerpnąć? Oto właśnie doszliśmy do najsłabszego punktu naszej sprawy rolniczej. Ziemianie, zaskoczeni zniżką cen zboża, nie wiedzą zupełnie, co zamiast niego produkować i albo wyczekując bezradnie zmiany położenia, opadają coraz głębiej w bankructwo, albo rzucają się na oślep w ryzykowne przedsięwzięcia, na których często karki łamią. Rozumie się, żaden ekonomista, żaden badacz stosunków miejscowych, żaden płodny ojciec świeżych pomysłów nie może pytającym i błądzącym wskazać właściwej drogi i co najwyżej skłoni ich do hazardowej gry z losem; taki program pracy zdolne są przygotować tylko umysły, obserwujące i ogarniające ją z wysoka, wiedzące ściśle, gdzie ona wytwarza nadmiar, a gdzie niedobór, które potrzeby miejscowego i zagranicznego spożycia są zaspokojone, a które cierpią niedostatek, czego państwo lub pewne jego okręgi mają za wiele, a czego za mało, co ono w wielkiej ilości sprowadza, a co wywozi. Jest to więc zadanie do spełnienia dla instytucyj oraz władz-zawiadowczych i kontrolujących, a nie dla jednostek. Musi ono być postawione na porządku dziennym przed kredytem, elewatorami, lombardowaniem zboża w bankach i tympodobnymi środkami, które tylko chorobę przedłużają, ale jej nie uleczą. Ze wszystkich też doniesień i pogłosek, jakie w ostatnich czasach rzeczono na pociechę skłopotanym, za najważniejszą uważamy zapowiedź wielkiego zjazdu ziemian, który zaopatrzony być winien w urzędowe dane statystyczne, dotyczące gatunków i rozmiarów produkcyi rolnej oraz potrzeb spożycia, jej nadmiaru i braków, przywozu i wywozu, warunków i kosztów wytwórczości w rozmaitych okolicach państwa itd. Oparłszy się na tym materyale, przedstawiciele ziemian mogą istotnie dojść do wniosków, z których wytryśnie światło, rozjaśniające im ciemności i prowadzące na właściwą drogę.

Dziesięciolecie.

Ile razy mówimy o działalności Towarzystwa ogrodniczego, zawsze przypomina się nam stara maksyma: „Przyjacielem jest mi Plato, ale większą przyjaciółką prawda.“ Dla założycieli i członków zarządu tej instytucyi żywimy szczerą sympatyę, niektórych uznajemy za ludzi wyjątkowo zacnych, lecz wzgląd na dobro ogólne nie pozwala nam przemilczeć o rozmaitych brakach i niewłaściwościach. W dziesiątą rocznicę swego istnienia Towarzystwo mogło sobie przyznać, że ożywiło u nas nieco chęć zajmowania się hodowlą drzew i kwiatów, że urządziło szereg pogadanek i wystaw itd., ale nie ma prawa do największej zasługi, mianowicie, że oddziałało praktycznie na rozwój ogrodnictwa w kraju naszym. Same pogadanki dla kilkudziesięciu słuchaczów, same bez planu a z pośpiechem improwizowane wystawy, same doniczki z kwiatami rozlosowywane między członków, same teoretyczne lub bez końca projektujące artykuły *Ogrodnika polskiego*, nie osiągnęły tego rezultatu. Towarzystwo nie prowadzi żadnych systematycznych doświadczeń, nie posiada ani ogrodu próbnego, ani wzorowej szkółki, a tę, którą miało, rozprzedało w okropnym stanie za drogie pieniądze łatwowiernym nabywcom; nie zbiera z kraju doniesień o hodowanych odmianach, nie wyznacza konkursów, nie ułatwia członkom kupna dobrego materyału, nie rozsyła im nowych produktów dla przeprowadzenia prób w rozmaitych warunkach, słowem, nie robi tego, co przedewszystkiem robić powinno. Nieszczęściem stała i szczupła załoga, która się zbiera na obrady, umie tylko z zachwytem kiwać głowami i tworzyć żywy obraz tego widoku, jaki dziś oglądać możemy tylko w bankach, których akcyonaryusze zatwierdzają wszystko bez krytyki, o ile tej harmonii nie naruszy jeden jedyny p. Maciejowski. Towarzystwo ogrodnicze nie zdobyło się nawet na p. Maciejowskiego. Stąd życie jego upływa w wielkiej zgodzie, ale i w wielkiej nieruchomości. Dopóki zaś ono z niej nie wyjdzie, będzie ciągle ozdobą naszego społeczeństwa, ale nie jego pożytkiem.

Nowy sposób.

Prawo o lichwie nie zostało martwem; od chwili wprowadzenia wykazało już ono w praktyce swoją surowość, między innemi w gub. Królestwa skazano kilku winnych na więzienie, ze Słonima zaś wysłano takiego „dobroczyńcę“ daleko i to w ciągu dwudziestu czterech godzin. To też lichwiarze, przygnębieni naciskiem sprawiedliwości, starają się używać wszelkich wybiegów, któreby ich ochroniły od kary i dały możność wyciągania do nieskończoności procentów, którymi wierzyciele w trójnasób spłacili pożyczki. O ciekawym i wymownym szwindlu z tej dziedziny opowiada *Kuryer warsz.* Jakiś „pan“ przy ul. Ciepłej na liście lokatorów zwany „pisarzem prywatnym,“ otworzył „kancelaryę“ do ściągania zobowiązań względem lichwiarzy, którzy tam się schodzą i wręczają swemu przedstawicielowi weksle, cedując fikcyjnie na jego imię. Podobno ten hurtowny nabywca dowodów odznacza się stanowczością nieubłaganą w egzekwowaniu i udaje naiwnego. Jednych zmusza do układów dobrowolnych, drugich pociąga do sądu. *Kuryer* tłomaczy jego odwagę w sposób następujący: „Chociaż prawo karze nabywców zobowiązań lichwiarskich na równi z wierzycielami pierwotnymi, to były przecież wypadki, że sądy uwalniały ich od odpowiedzialności dla braku dowodu, iż wiedzieli oni o charakterze cedowanego zobowiązania. No, a jeżeli nawet w najgorszym razie trzeba będzie okupić się kilkoma tygodniami kozy, to przecież za to właśnie ryzyko płacą mu kapitaliści „premię askuracyjną.“ Ażeby zapobiedz tego rodzaju wybiegom, których prawo o lichwie zdaje się nie przewidziało, trzeba byłoby do nabywców weksli zastosować te same środki, co do paserów: unieważniać kupno po sprawdzeniu, że dowód pochodzi od lichwiarza. *ir.*

„Na raty.“

Wynikiem warunków ekonomicznych jest charakterystyczna forma sprzedaży, która utrwaliła się i rozpowszechniła w ostatnich latach dość szeroko. Sprzedawane są na raty nietylko maszyny do szycia, ubrania, fortepiany, łóżka, meble, zegary, ale samowary, obuwie i wszelkie drobiazgi wartości kilkorublowej. Kupcy prześcigają się w czynieniu ulg, tak dalece, że nawet przedmioty stosunkowo dość kosztowne sprzedają na wypłatę miesięczną po parę rubli, lub tygodniowo po rublu. Forma taka oczywiście dla ludzi niezamożnych jest bardzo dogodna, ale ma i strony ujemne, na pierwszy rzut oka niewidoczne. Kupiec, sprzedając w ten sposób, naraża się na ryzyko, musi więc zabezpieczyć się dobremi odsetkami, dorównywającemi częstokroć wartości towaru. I oto z warunków bytu szerokiej klienteli wypływa nowa postać lichwy. Znane są fakty obwarowywania się umową przy sprzedaży maszyn na raty; właściciel w razie najmniejszego przekroczenia ma prawo odebrać przedmiot sprzedany i nie zwrócić sumy wypłaconej, chociażby już niewiele brakowało do jej umorzenia całkowitego. Na piśmie sprzedaż taka nazywa się wynajmem i ten jeden termin jest grozą dla kupującego, a rękojmią dla kupca, bardzo korzystną, bo pozwalającą mu jeden przedmiot sprzedać kilkakrotnie. Znany jest np. stan finansowy naszych szwaczek; wie o nim również wybornie kupiec, więc już z góry przewiduje w wypłacie nieakuratność, która dlań bywa nieraz korzystniejszą, niż rzetelność. Na tę postać handlu w ostatnich czasach zwróciły uwagę sfery prawodawcze i zaczynają rozprawiać o środkach jej uregulowania. Podobno nawet wkrótce będą opracowane specyalne przepisy w departamencie przemysłu i handlu. Żadne ustawy w państwie nie uznają dotąd prawa własności pomiędzy nabywcą, który już opłacił w znacznej części dany przedmiot, a właścicielem kredytującym. Tymczasem w praktyce, jak wiadomo, dzieją się tego rodzaju obroty, bez wszelkiej opieki i kontroli prawnej, co może prowadzić do nadużyć obustronnych. Jeżeli będą wydane przepisy w tej mierze, to prawdopodobnie za punkt wyjścia posłuży nowa ustawa Banku państwa o pożyczkach na zakup inwentarza w przedsiębiorstwach rolnych. Wedle tych przepisów, do chwili zupełnego wypłacenia szacunku przedmioty są uważane jako rękojmia zobowiązań obustronnych. Ani nabywca, ani wszelkiego rodzaju wierzyciele nie mają prawa sprzedawać tych rzeczy, dopóki nie są całkowicie spłacone. Jest to zasada wielce rozumna i sprawiedliwa, a więc można liczyć, że znajdzie szerokie zastosowanie także w tranzakcyach sprzedaży na raty. Postać tych stosunków między kupcami i przedsiębiorcami a znaczną częścią ogółu, zbawiającego ich klientelę, tak dalece już się utrwaliła i stała potrzebą życia, że należy i z nią się liczyć i nie przeciwdziałać tak ważnym udogodnieniom, lecz je ułatwiać tudzież wzmocnić gwarancyą odpowiednią. Taką drogą zmniejszą się nadużycia i ryzyko, a więc i procent, wliczany przez kupców w ogólnej cenie, „dla pewności.“ *P.*

Jakie piwo pijemy?

Minęły te czasy, kiedy piwo warszawskie zaliczano do przednich i kiedy mogło ono po kilka tygodni stać w piwnicy, bez najmniejszego wpływu na smak i dobroć. Dzisiaj mieszkańcy miasta wypijają codzień tego trunku ogółem znacznie więcej, niż dawniej i tylko się krzywią i spluwają, poczuwszy niesmak, albo się uskarżają na niedomaganie żołądkowe, nie zdając sobie sprawy, skąd ono pochodzi. Natomiast stacya hygieniczna warszawska coraz pilniej bada ten artykuł codziennego użytku i od czasu do czasu ogłasza wyniki, które dla ludzi rozsądnych i dbałych o swoje zdrowie, powinny być ostrzeżeniem. W ubiegłym tygodniu ujawniono rezultat rozbioru piwa z browaru przy ul. Czerniakowskiej (nr. 92), niezbyt zachęcający dla spożywców. Do produkcyi wprowadzany jest nietylko chmiel i słód, ale i „patoka“ cukrowa. „Browar używa wierzchnich drożdży i pozostawia brzeczkę do fermentowania z niemi 12—14 godzin, poczem niezwłocznie rozsyła produkt mocno fermentujący, niewystały i z dużym procentem drożdży. Fabryka nie używa filtrów, wskutek czego piwo zawiera przymieszki mechaniczne, części słodu itp.“ Tak brzmi rezultat analizy piwa z jednego browaru. Czy mamy przypuszczać, że w innych dzieje się lepiej? W ostatnich czasach produkcya piwa rozwinęła się ogromnie, największe zaś jest zapotrzebowanie gatunków

tanich do „bawaryj,“ gęsto rozsianych nawet na rogach ulic pierwszorzędnych. Owa taniość i współzawodnictwo wytwórców zrodziły pośpiech, niedbalstwo i nadużycia. Przy wielkim odbycie produkt jest obliczony na trwanie jedno lub parodniowe; byleby więc był spożyty świeżo, zadowoli niewybrednego konsumenta. Ale nietylko niższe gatunki wyrabiane są w ten sposób. Potrzymajmy dwa dni butelkę piwa droższego w piwnicy, a zobaczymy, co się z niego zrobi: zmętnieje i straci smak zupełnie, a na dnie zostanie osad, tworzący gąszcz z części stałych. Wobec takiego stanu rzeczy nieobojętną będzie dla ogółu zwiększona kontrola sanitarno-policyjna nad wszystkimi browarami, poparta następującem rozporządzeniem: Do wyrobu piwa nie wolno używać „patoki,“ w której często zawiera się gips i inne domieszki, dla zdrowia szkodliwe; wierzchnia fermentacya powinna być prowadzona co najmniej 48 godzin przy temperaturze minimalnej 12—14° C, a więc w zimie należy ogrzewać lokal; piwo przed wysłaniem z browaru trzeba filtrować dla usunięcia drożdży i innych domieszek. Obostrzenie to, jakkolwiek poparte groźbą kary, nie usunie w zupełności nadużyć. Po za tem konieczna jest zmiana systemu warzenia, szczególnie tańszych gatunków piwa i zapobieżenie spekulacyi, wynikającej z gorączki spółzawodnictwa. Podobno w tym celu ma się odbyć narada piwowarów. Oby z pomyślnym skutkiem dla spożywców!...

zn.

W DALI.

Lublin. Wielką wrzawę wywołał rezulta zebrania przedstawicieli miejscowej kasy przemysłowców, dn. 14 października. Posiedzenie zagaił prezes komitetu, p. Edward Krausse i następnie udzielił głosu członkowi, zarządzającemu rachunkowością, adwokatowi przysięgłemu, p. Teofilowi Ciświckiemu, który scharakteryzował przebieg obrad poprzednich (przed tygodniem) na zebraniu ogólnem. Według ustawy, zebrania uczestników zwoływane są tylko na to, ażeby obierały reprezentantów; pomimo to wywleczono sprawy, które w jego zakres nie wchodziły. Członkowie kasy, nieobeznani z biegiem czynności i porządkiem obrad, czuli się powołanymi—jak mówi sprawozdawca *Gaz. lub.*—do roztrząsania legalności postanowienia swoich przedstawicieli, a stało się to z powodu mowy przewodniczącego ówczesnemu zebraniu, d-ra Dutkiewicza. Przyczyną niezadowolenia i zarzutów, stała się lista 57 kandydatów na reprezentantów, utworzona przez komitet „dla ułatwienia czynności przedstawicielom,“ którzy z mocy art. 42 ustawy zobowiązani są sami uformować taką listę dla zebrania ogólnego w potrójnej liczbie kandydatów. Ową listę przyjęto wówczas większością głosów, stała się zatem obowiązującą, a więc tylko wymienieni w niej kandydaci mogli być powołani. To też dr. Dutkiewicz obarczony został zarzutem niewłaściwości publicznego roztrząsania sposobów, przy jakich listę przyjęto. P. Ciświcki w przemówieniu swojem, w którem poruszył sprawy powyższe, zaznaczył, iż zarząd gotów jest ustąpić, jeżeli tego reprezentanci życzą i prosił o powołanie nowego. „Założyliśmy kasę z 740 rublami i często załatwiali interesy z własnej kieszeni. W grudniu skończy się 10 lat istnienia tej instytucyi; widzieliśmy z czem była założona, a jaką sumą obraca dzisiaj. Należy więc przyznać zarządowi jakąś zasługę.“ Następnie dr. Dut. zabrał głos i wyjaśnił, że podniósł kwestyę listy nie dla tego, ażeby objęte nią osoby uważał za nieodpowiednie do otrzymania mandatów, ale że uformowanie jej było nielegalne, gdyż stosownie do 42 ust., powinna być ułożona nie przez komitet lecz przez reprezentantów. To była przyczyna protestu. W końcu mecenas J. Wołowski, zaznaczając również tę niewłaściwość, uznał jednak zasługi zarządu i zaproponował wyrazić „votum zaufania.“ Na to dały się słyszeć okrzyki: Nie! Oddano więc sprawę pod tajne głosowanie, z którego wypadło 25 głosów przeciw zarządowi, a 20 za nim. Tym sposobem za parę tygodni będzie stworzony nowy ster.

Z powodu tych wypadków *Gazeta rzemieślnicza* wypowiada zdanie, które zasługuje na zaznaczenie: „Zupełnie nie pochwalamy tego zajścia, bo może ono źle się odbić na biegu spraw kasy, jeżeli nowoobrany zarząd nie będzie wtajemniczony w prowadzenie takiej finansowej instytucyi—jednak musimy zaznaczyć, że zachowanie się zarządu było przedewszystkiem nielegalne, a więc tem samem upoważniało reprezentantów do podobnież nielegalnego postępowania. Niejedną kasę w Królestwie Polskiem posiadamy i w nich również praktykują się rozmaitego rodzaju *ułatwienia.* Zdarza się, że zarządy nie tylko tworzą listę kandydatów na reprezentantów, lecz za pośrednictwem swych urzędników *ułatwiają* wybór tych lub owych, albo nawet jeżdżą do mieszkań tych uczestników, którzy mogliby nie stanąć do głosowania, i ułatwiają im wybór kandydatów i podpisanie listy. Widzimy z tego, że *ułatwienia* owe mogą bardzo daleko sięgać i znów wywołać jakieś przykre zajście. Tembardziej, że zdarzało się również, iż ludzie z głową, cieszący się wszędzie i zawsze ogólnym szacunkiem, byli usuwani z liczby reprezentantów właśnie przy pomocy podobnych ułatwień.“

Mińsk. Według sprawozdania korespondenta *Gazety Polskiej*, doroczny jarmark kojdanowski (w pow. mińskim) odznaczał się średniem powodzeniem. Obroty zbożowe były bardzo nieznaczne, za to bydła, a zwłaszcza koni, sprzedano i kupiono sporo. Szczególnym popytem cieszyły się źrebięta, których w tym roku przyprowadzono mniej, niż dostarczano zwykle w latach ostatnich. Jest to towar przeważnie włościan okolicznych, dotkniętych stałym brakiem paszy. Z tego powodu starają się o ile można sprzedać przed zimą niezbyt potrzebny inwentarz. W r. b. paszy prawdopodobnie nie zabraknie, więc wogóle sprzedaż nie będzie tak gorączkowa, tem bardziej, że ceny są nizkie. Na jarmarku źrebięta kupowali chętnie właściciele ziemscy.

Moskwa. Dnia 8 z. m. w obecności towarzysza ministra rolnictwa, otwarto instytut gospodarstwa rolnego w Pietrowskiem-Razumowskiem. Przyjęto 60 studentów, 32 na mocy złożonego egzaminu i 10 z decyzyi ministeryum.—W roku bieżącym upływa 75 lat od chwili założenia miejscowego Towarzystwa rolniczego. Na pamiątkę tej daty postanowiono urządzić wszechpaństwową wystawę rolniczą, która przedstawić ma obraz chwili, całokształt owej gospodarki we wszelkich jej gałęziach i w różnych warunkach. Obok tego wybitne miejsce zajmie dział naukowy, wyjaśniający stronę techniczną przemysłu rolnego. Udział mogą brać zarówno towarzystwa, instytucye, jak i osoby prywatne.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPRAWY WŁOŚCIAŃSKIE.

II.

Przedmiotem uwagi władz i osób dokładnie obeznanych z bytem włościan, była nieraz sprawa niewłaściwego ściągania podatków *). Między innymi p. Isajewicz w swojej broszurze pt. „Czego potrzeba dla polepszenia warunków ekonomicznych gub. Królestwa Polskiego,“ zalecał jako jeden z ważnych środków, zmianę terminu w poborze podatkowym, zarówno dla większych właścicieli ziemskich, jak i dla ludu. Według obecnego porządku rzeczy, wnoszenie opłat rzeczonych przypada na taki czas, kiedy każdy gospodarz ma najmniej pieniędzy a najwięcej wydatków. Znagleni wszakże terminem obowiązkowym, muszą zaciągać pożyczki lichwiarskie, sprzedawać produkty za bezcen, czyli z każdym rokiem wyjmować po parę cegiełek z podstaw swego warsztatu pracy. W sferach prawodawczych kilkakrotnie te kwestye rozpatrywano i w rezultacie przybyło nieco zmian i uzupełnień w przepisach. Tak np. do r. 1878 podatek roczny rozdzielano na dwie równe części, z których pierwszą należało uiszczać od połowy stycznia do 28 marca i drugą od października do 28 stycznia roku następnego. Komisya Wałujewa uznała owe terminy za niedogod. e i skutkiem tego 4-go czerwca 1878 r. wydano prawo, zupełnie zmieniające porządek poprzedni. Instytucye gubernialne do spraw włościańskich otrzymały upoważnienie określania owych terminów, stosownie do warunków danej gminy. Dn. 3 stycznia r. 1881 ogłoszono uzupełnienie przepisów, według którego władze gubernialne wnikają w zmiany półrocznych poborów podatku i jeżeli w pewnej miejscowości skutkiem warunków wyjątkowych pierwsza rata jest zbyt wielkim ciężarem dla włościan, należy rzecz tę przedstawić ministeryum skarbu, które upoważnia do rozpłat ulgowych. Wreszcie 19 lutego r. b. rozszerzono i uzupełniono przepisy o odroczeniu i rozkładaniu na raty ciężarów podatkowych.

Taka dążność prawodawstwa do czynienia ułatwień ludności włościańskiej nie zaszczepiła się należycie w praktyce. Według źródeł urzędowych, organy miejscowe w znacznej większości wypadków nie wnikają w potrzeby ludu i w oznaczaniu terminów rządzą się przedewszystkiem formalistyką i względami kancelaryjnymi. W ostatnich czasach ministeryum spraw wewnętrznych otrzymało mnóstwo próśb instytucyj ziemskich i gubernatorów o zmianę porządku obecnego. „Dla zapobieżenia ruinie gospodarstw włościańskich—mówią te odezwy—konieczną jest rzeczą zastąpić obecnych urzędników, ściągających podatki, innymi bardziej zainteresowanymi sprawą dobrobytu ludności.“ O tem, że ciężary podatkowe nie są pobierane właściwie tudzież zgodnie z warunkami ekonomicznymi najwymowniej świadczą dane cyfrowe: Po wprowadzeniu nowych przepisów z r. 1887, w praktyce pozostał podział poprzedni, tj. prawie dwie równe części: w r. 1882 pierwsze półrocze dało z sum podatkowych 77 milionów rubli, drugie 74,8 mil. r. 1883 pierwsze 74, drugie 75 mil. rs.; 1884 r.—70 i 69,4 mil., 1885 r.—72,5 i 74,9 mil. rs. Co zaś do terminu wnoszenia podatku w granicach każdego półrocza, to i tutaj prawo nie oddziałało. Jak dalece podatkowa wypłatność ludu pozostaje w związku z bytem ekonomicznym, świadczą również dane statystyczne. Od r. 1871 do 1875 tego rodzaju długi włościan, stanowiły 30,6% poborów rocznych; w ciągu zaś pięciolecia po wydaniu prawa 1879—1883 odsetki te wynosiły już 32,5%, wreszcie w okresie 1886—1891 urosły prawie do 42,2%. Zaległości przed r. 1855 powstały po 30-letniem panowaniu Mikołaja I, tj. w okresie wielu klęsk: r. 1827 nieurodzaj, 1828—1829 wojna, 1830 cholera, 1831 wojna i cholera, 1833—1834 i 1839—1840 głód, 1842 nieurodzaj (w siedmiu guberniach), 1844—1846 nieurodzaj ogólny, 1848 cholera i nieurodzaj, 1849 wojna i cholera, 1850 nieurodzaj, 1853—1854 wojna. Zaległości te, wynoszące 57,6 mil. rubli, zostały całkowicie umorzone manifestem koronacyjnym r. 1856. W następnym okresie aż do r. 1891 ludność nie doznała ani razu zupełnego i ogólnego nie-

*) Mówimy tu o podatkach wszelkiej kategoryi, tak zw. poduszych, czyli pogłówych, czynszowych i wykupnych. Z tych szczególnie dwa ostatnie rodzaje wielkie mają znaczenie.

urodzaju, któryby pod względem rozmiarów klęski dorównywał niepowodzeniu w latach 1833—1834 i 1839—1840; odczuła zaś skutki jednej wojny r. 1876—1878 i miała tylko miejscowe nieurodzaje w latach 1859, 1865, 1867, 1875, 1880, 1885 i 1889. W tymże samym okresie ludność otrzymała ulgę w postaci dwóch manifestów: pierwszy r. 1880 umorzył połowę zaległych podatków „poduszny ch" (około 7 mil. rs.), drugi r. 1883 darował całkowicie długi tego rodzaju, tudzież w stosunku poboru rocznego—czynsz i należności wykupu, ogółem około 40 mil. rubli. Głód r. 1891 przyczynił się do nowych zaległości w sumie 41 mil. rs., nieurodzaje i cholera r. 1892 przyniosły jeszcze 22 mil., tak iż w początkach roku przeszłego skarb państwa miał długu na ludności włościańskiej 127,3 mil. rs. Zatem dwa lata niepomyślne odłużyły ludność w takim prawie stosunku, jak przed tem siedmiolecie. Według obliczeń p. Gołubiewa (*Wiestnik Jewropy*, październik r. 1894), w roku bieżącym ogólna zaległość wszelkiego rodzaju podatków włościańskich wyniesie *150—200* milionów rubli. Przyczyny takiego stanu rzeczy nie podobna upatrywać wyłącznie w sposobie ściągania podatków, chociaż i ten czynnik odgrywa pewną rolę. Urzędowe sprawozdania notują mnóstwo faktów kancelaryjnej gorliwości urzędników, co pod względem fiskalnym zasługiwałoby na pochwałę, gdyby nie groziło wysuszaniem źródła, z którego skarb państwa czerpie dochody.

Pod wpływem takich warunków wydano instrukcyę, przypominającą „przepisy prawne, która zastrzega, iż odraczanie i rozkładanie rat należy uskuteczniać po dokładnem zbadaniu położenia gospodarstwa każdego dłużnika z osobna (gromady, wsi lub pojedynczego właściciela gospody). W razie niedokładności szczegółów, stosowna instytucya gubernialna wyznacza osobnego urzędnika dla zbadania i wyświetlenia sprawy. Dla osób tych opracowano oddzielny program, wskazujący, jak trzeba zbierać dane o gospodarstwach, którym przysługują ulgi, mianowicie uwzględniać należy: skład gmin, rozmiary gruntów i ich położenie, stan inwentarza, zarobki i przedsiębiorstwo, ulgi, które już udzielono, rozmiary podatków i zaległości. Niezależnie od tego, postanowiono instytucyom gubernialnym dać prawo udzielania w tej mierze własnych wskazówek. Tą drogą zebrane szczegóły przesyłane będą do władz powiatowych, które dopełniwszy je, w razie potrzeby, powinny następnie skierować do instytucyi gubernialnej, z wypowiedzeniem własnego zdania i określeniem ulg niezbędnych. Dopiero ta instytucya orzeka bądź odmownie, bądź też czyni starania odpowiednie u ministra skarbu. Co się tyczy odroczeń i rozłożenia na mniejsze raty zaległości, które urosły do 12 lipca 1894 r. i przewyższają rozmiary podatku rocznego, to z chwilą wydania w niedalekiej przyszłości nowych przepisów, kasy skarbowe w powiatach będą musiały sformować wykaz dłużników tej kategoryi, który posłuży do przyznawania ulg najniezbędniejszych.

Przytoczyliśmy tych parę wyjątków z instrukcyi, które dają niejakie pojęcie o porządku postępowania. Widzimy, iż sprawa ulg przechodzić będzie przez kilka szczebli (jak dawniej, z niewielkiemi zmianami), o ile nie ulegnie odmowie, oprze się o władze ministeryalne. Wobec tego można przypuszczać, iż cała procedura nie będzie zbyt łatwą i pośpieszną; ale z drugiej strony nie należy zapominać, iż są to przepisy prawdopodobnie tymczasowe przed opracowaniem nowego prawa na podstawach zupełnie racyonalnych i zgodnych z warunkami bytu ludności. Materyałem zaś i ułatwieniem biegu myśli przewodniej posłużą w tej mierze szczegóły, skrzętnie zbierane. Miejmy więc nadzieję, że sfery prawodawcze i w tym wypadku ujawnią podobną dążność, jak w nowej ustawie Banku państwa, tj. będą się starały usunąć wszelką formalistykę i zawiłość. To też jednym z pożądanych środków byłoby nadanie organom niższym pewnej samodzielności w takim stopniu, iżby mogły one rozstrzygać same kwestyę rozdrabniania rat lub odraczania podatku. Przedewszystkiem zaś powinna być jakaś stała zasada, uwzględniająca te pory roku i miesiące, w których ludność, podlegająca ciężarom podatkowym, ma pieniądze i zdąży ła opędzić niezbędne potrzeby gospodarstwa. Maj, czerwiec, lipiec, sierpień a nawet wrzesień *), to są właśnie miesiące, w których zarówno większy, jak i drobny rolnik, znajduje się częstokroć w ciężkich potrzebach i kłopotach i najwięcej nakładu wymaga, jednocześnie zaś nie ma żadnych źródeł dochodu, o ile nie sprzeda produktów na pniu za bezcen i nie odda się lichwie. Na to twierdzenie łatwo przewidzieć zarzut: przecież lud najwięcej w lecie ma sposobności do zarobkowania. Tak; ale chociaż, biorąc rzecz pozornie, siła robocza około własnego gospodarstwa nic, a przynajmniej niewiele go kosztuje, bo wprzęga siebie i swoją rodzinę do pracy, w każdym jednak razie nawet gospodarka pierwotna wymaga pewnego nakładu i już ten sam fakt, że lud w gorącej chwili zajęć szuka zarobku, dowodzi, jak dalece niezbędne są dlań pieniądze, pomimo zbyt małych wymagań, jako warstwy, stojącej po za obrębem kultury i jej wpływów.

Powyżej zaznaczony ruch około wzmocnienia prawodawstwa i przystosowania go do potrzeb życiowych, jest faktem niezmiernie ważnym i dodatnim. Ale samo prawodawstwo, to dopiero środek, wymagający umiejętnego użycia. Na jego zatem wykonawcach spoczywa wielkie zadanie, które nie jest łatwe, jak to widzieliśmy ze szczegółów urzędowych, stwierdzających zawieszanie przepisów na „suchej... literze." To też żaden może dział prawa nie wymaga tyle umiejętności i rzetelności, co włościański. Na to sfery właściwe winny zwrócić uwagę i silny nacisk położyć. Samo atoli prawo, chociażby było oparte na podstawach najhumanitarniejszych, jest tylko środkiem, trochę łagodzącym zło, które tkwi w warunkach ekonomicznych. Te też w poważnej prasie ruskiej odezwały się głosy, żądające poprostu umorzenia dawnych zaległości i zmniejszenia rozmiaru podatków. Najważniejszym atoli czynnikiem powinna być dążność ku podniesieniu dobrobytu ludności włościańskiej.

O jednym z szerokich planów w tej mierze, to jest o zorganizowaniu robót publicznych, jużeśmy dawniej pisali. Jest to wszakże tylko odłam z tych środków, jakie należałoby zarządzić. Z szeregu innych waży się obecnie sprawa wynajmowania gruntów rządowych. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa (jak zapewniają dzienniki ruskie) rozstrzygnęło kwestyę dzierżawienia przez lud gruntów skarbowych w ten sposób, że z owej formy użytkowania dóbr nie należy ciągnąć dochodu dla kasy państwa, lecz przedewszystkiem dopomagać do podniesienia stanu ekonomicznego gospodarstw włościańskich. Stąd można wnosić, iż grunty skarbowe będą wydzierżawiane tej warstwie ludności na warunkach bardzo przystępnych pod względem rozmiarów czynszu, tudzież rozkładania jego na raty.

*) W wielu miejscowościach praktykuje się zwyczaj ściągania podatków w tych miesiącach. Na to zjawisko nienormalne w guberniach Królestwa Polskiego zwrócił uwagę p. Piotr Isajewicz.

Drog.

KRONIKA.

Ważne postanowienie. Na ogólnem zgromadzeniu senatu zapadła ważna decyzya w sprawie dewastacyi. Odtąd, z chwilą dokonania opisu majątku w drodze subhastacyi, czy to na zasadzie ustawy Towarzystwa kredytowego, czy też na mocy postępowania cywilnego, właściciel dóbr subhastowanych ma być uważany już nie za właściciela, lecz za dozorcę; chociażby dobra te pozostawione były pod jego zarządem, to jednak nie ma on już prawa korzystania z dochodów, które od dnia opisu doliczają się do sumy osiągniętej ze sprzedaży. Gdyby zaś dokonał jakiegokolwiek czynu z zamiarem uzyskania dla siebie lub innej osoby nieprawnej korzyści, odpowiadać będzie krymikalnie za roztrwonienie rzeczy cudzej, na mocy art. 1,671 kod. karn. Nadto decyzya senatu stanowi, iż chociażby przez taki nieprawny czyn dozorcy Towarzystwo kredytowe żadnej nie poniosło szkody, tj. chociażby szacunek postąpiony na licytacyi, całkowicie pokrył pożyczkę Towarzystwa, okoliczność ta nie może mieć wpływu na zmianę występnego znaczenia czynu dozorcy-właściciela. Istota bowiem przestępstwa roztrwonienia wymaga, aby ustalonem było, że winny miał zamiar osiągnąć sam lub dostarczyć komu innemu korzyści bezprawnej, bynajmniej zaś nie zależy od tego, czy nastąpiła dla kogoś szkoda materyalna—zdarzenie wypadkowe, od woli winnego niezależne. Postanowienie powyższe, jako wydane przez zgromadzenie ogólne senatu, ma moc obowiązującą dla wszystkich sądów.

Sprawy społeczne. W Częstochowie osiedla się coraz więcej żydów z gub. zachodnich i nadbałtyckich.

— *Mosk. wied.* donoszą, iż w tych dniach komitet asekuracyjny ministeryum spraw wewnętrznych wydał koncesyę na utworzenie Towarzystwa fabrykantów i przemysłowców wzajemnego ubezpieczenia robotników. Ustawa pozwala zapisywać się na członka każdemu fabrykantowi, mającemu w swoim zakładzie przynajmniej 50 robotników.

— W Łazówce, wsi pow. trembowelskiego (Galicya) dziewięciu chłopaków zamordowało w okropny sposób 36-letniego ekonoma za to, że nie pozwolił im bezprawnie pasać bydła na łące skarbowej. Winnych uwięziono. (*Kur. warsz.*)

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa dobroczynności przy kościele parafialnym katolickim w Woroneżu.

Szkoły. Przy ministeryum oświaty po długiej przerwie osobna komisya rozpoczyna pracę nad sprawą ułatwień w zakresie wykładu języków starożytnych w gimnazyach.

— D-r Leon Winiarski mianowany został prywat. docentem na wydziale literacko-społecznym uniwersytetu genewskiego.

— Jak donosi korespondent *Now. wr.*, na miejsce b. rektora uniwersytetu warszawskiego, prof. Szczełkowa, ma być mianowany prof. Kowalewski, zajmujący dotychczas katedrę psychiatryi w uniwersytecie charkowskim.

— Profesor uniwersytetu warszawskiego, dr. Hoyer, uwolniony został od obowiązków, z prawem prowadzenia dalej wykładów w charakterze profesora nieetatowego. Profesor zwyczajny tegoż uniwersytetu, rz. r. st. Pawliński, na mocy rozkazu p. ministra oświaty pozostawiony został na zajmowanem stanowisku jeszcze na lat pięć.

— W Warszawie przy ulicy Tamka powstaje nowy zakład freblowski.

— Ministeryum rolnictwa zwróciło się do ministeryum oświaty z wnioskiem, ażeby uczniów i uczenice szkół niższych i średnich zapoznawano z hodowlą jedwabników.

Zdrowie publiczne. Potrzeba lekarza chrześcianina w osadzie Brdowie, w pow. kolskim, gub. kaliskiej, odległej o 4 mile od stacyi Ostrowy. Okolica zamożna. Bliższych szczegółów udzieli aptekarz miejscowy, p. Bolesław Opolski. Listy adresować należy przez Izbicę.

— Rada lekarska wyjaśniła, iż stosowanie hypnozy może być polecone tylko lekarzom.

— We Lwowie dr. Merczyński, dyrektor szpitalika św. Zofii dla dzieci, czyni pomyślnie doświadczenia

z surowicą krwi, którą uzdrowił już czworo dzieci, chorych na dyfteryt. Produkt ten dla jednego dziecka kosztuje 15 zlr.

— Delegat *Medycyny*, dr. Żurakowski, ogłasza że Aronson w Berlinie przyrzekł mu dostarczyć w listopadzie surowicy krwi. Obecnie jej jeszcze nie ma, fabryka zaś w Hoechst wypełnia dotąd tylko zlecenia zarządów szpitali niemieckich. Z tego powodu próby leczenia w Warszawie nowym sposobem będą spóźnione.

— Departament lekarski donosi w *Praw. wiest.*, iż wobec zupełnego wygaśnięcia cholery w gub.: płockiej od d. 16 września, grodzieńskiej, łomżyńskiej, mohylewskiej i estlandzkiej od d. 23 września, radomskiej i siedleckiej od d. 30 września, kostromskiej ołonieckiej i pskowskiej oraz w m. Warszawie od d. 6-go b. m., wszystkie wzmiakowane miejscowości ogłoszono jako znajdujące się w stanie pomyślnym pod względem zdrowotnym.

Posiedzenia. Na zebraniu sekcyi technicznej w ubiegłym tygodniu rozprawiano o uregulowaniu ulic i placów, głównie zaś o sprawach zdrowotnych i komunikacyjnych Warszawy. P. Wojciechowski doradzał uregulowanie całego pasa od rogatek powązkowskich ku belwederskim i założenie wzdłuż ulicy Okopowej, szerokiej drogi do przejazdu z podwójnym szeregiem drzew po obu stronach i wygodnymi chodnikami, na wzór pierwszorzędnych ulic Paryża i Wiednia. P. Sokal przemawiał za uporządkowaniem Powiśla, inż. Bagleński za ulepszeniem komunikacyi pomiędzy dolną a górną częścią Warszawy. Inż. Majewski radził przedłużyć ul. Hortensyi do Nowego Światu; inż. Diehl żądał uregulowania ulic „ślepych."

— Na posiedzeniu sekcyi chemicznej prof. Znatowicz mówił o czynionych przez siebie doświadczeniach fizyczno-chemicznych; p. Trzciński przedstawił badanie d-ra Fiszera, działanie drożdży na cukry. P. Freuer podał wyjaśnienia w sprawie zmian dotychczasowych opłat gildyjnych od fabryk przetworów chemicznych, na podatek bardziej równomierny. Jest to dopiero szczegół z opracowywanego w Petersburgu planu reformy.

Sądy. W izbie sądowej rozstrzygnięto sprawę rabusia, Juliusza Kosmana, który działał pod Męcką-Wolą w gub. łomżyńskiej. Zamaskowany lub przebrany, napadał na podróżnych, wracających z jarmarku i obdzierał ich przy pomocy wspólnika, ukrytego w krzakach. Zabierał nie tylko pieniądze, ale i produkty spożywcze. Sąd okręgowy łomżyński skazał go na dożywotnie osiedlenie w Syberyi, przy pozbawieniu szczególnych praw i przywilejów. Izba sądowa warszawska wyrok powyższy zatwierdziła.

— Drugi departament karny izby sądowej warszawskiej sądził w drodze apelacyi sprawę mieszkańca osady Brzeziny gub. piotrkowskiej, Antoniego Karczewskiego (lat 24), oskarżonego o sfałszowanie świadectwa 4-go gimnazyum warszawskiego z ukończenia czterech klas. Kar. nie zdał tylko z jednego przedmiotu i skutkiem tego nie otrzymał świadectwa, co mu nie pozwoliło wstąpić do seminaryum katolickiego we Włocławku. Chcąc zatem ułatwić drogę, dopuścił się fałszerstwa. Sąd uznając okoliczności łagodzące, skazał winnego na trzy tygodnie aresztu. Izba wyrok ten zatwierdziła.

Wypadki. W Bisztra (Siedmiogród) w fabryce prochu zdarzył się straszny wybuch. Kilkanaście osób zginęło.

— Z Londynu donoszą, iż w kopalni węgla Saudwell-Park wybuchły gazy. Dwunastu robotników śmiertelnie ranionych.

Zmarli. Alfons Czibulka w Wiedniu; kompozytor w zakresie lekkiej muzyki.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Октября 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka Nr. 8.